ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 lutego 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
39 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka·

ANDRE MALRAUX

NADZIEJA

André Malraux, znakomity autor „Doli człowieczej" i „Czasów pogardy", walczy obecnie jako dowódca-lotnik w republikańskiej armji Hiszpanji. Z przeżyć tej wojny powstały piękne epizody „L'Espoir". Jeden z epizodów, ogłoszonych w „La Nouvelle Revue Francaise" (listopad 1937), podajemy w przekładzie polskim.

*

Jaime Alvear, oślepły w walce towarzysz broni Scaliego, prosił go o sprowadzenie ojca z Madrytu do Alcali, gdzie się znajduje.

Scali znalazł również ministerstwo wojny wydane na łup zamierających świec. Ponure i olbrzymie sale, w których ostatniemu królowi Hiszpanji udawało się być tylko nędznie wyposażonem echem Karola V, te sale, które Scali znał pełne wyciągniętych na kanapach milicjantów z rewolwerami pod nosem, z prezydentem Rady, słuchającym w kącie minjaturowej stacji radjowej, wydane później surowym i nieco kapryśnym rządom Caballero, — gdy przekręcił wyłącznik, sale te odnajdował w tym samym stanie, z oknami, otwartemi na miasto, o napiętych do ostateczności nerwach, z zadziwionemi fotelami. Świece nie rozsiewały już żółtego światła wosku, jakie widzieli Garcia i Guernico, lecz tylko czerwonawe, kościelne światło przed ostateczną ciemnością. Tu i ówdzie, pośrodku wewnętrznego korytarza z arkadami, takie same latarki, jak te, które sygnalizują nocą zagrodzone ulice i ręczne wózki, oświetlały stopnie monumentalnych schodów, ginących w cieniu. W pokoikach na poddaszach, oficerowie generała Miaja przygotowywali obronę.

Garcia, pomiędzy innemi czynnościami, zabezpieczał obecnie kontakt pomiędzy biurem wywiadu wojskowego a międzynarodowem lotnictwem. Scali odnalazł go na Plaza Mayor. Był jeszcze dobrej myśli. Carabanchel trzymał się.

Był zadowolony z przekształcenia eskadry. Razem krążyli po mieście. Kawiarnie w centrum (hotelowe) zastali otwarte i zupełnie puste. Na Gran Via kelnerzy obsługiwali w ponurem odrętwieniu. W hall'u hotelowym międzynarodowcy, jeden po drugim, wyciągali z wielkich torb pięści najeżone kulami i formowali się w kompanje na trotuarze. W Tetuanie, w Cuatro-Caminos, kobiety znosiły na najwyższe piętra domów wszelkie materjały, jakie udało się im zebrać. W tych robotniczych dzielnicach nie powstawała nawet myśl poddania się, czy odejścia. Na wozach, pieszo, zdążali ludzie z 5-go pułku w kierunku Carabanchel, Zachodniego Parku, Dzielnicy Uniwersyteckiej. Garcia pozostał tam. Scali powrócił do centrum: ojciec Jaime'a mieszkał w dzielnicy Pałacowej.

Zabrać mógłby tylko jedną walizę: w aucie było mało miejsca.

Drzwi otworzyły się, ukazując masywnego, wielkiego starca, o zgiętych plecach i głowie wciągniętej w ramiona, z zaostrzoną w kształcie lancy bródką. Lecz gdy tylko Scali znalazł się pod elektryczną amplą w korytarzu, spostrzegł, iż zarost zniekształca tego „Greco" tak, jakby to uczyniła kopja barokowego malarza: ponad oczami, wielkiemi, o skupionem, mimo przyćmienia przez mięsistość i zmarszczki powiek, spojrzeniu, na łysawej czaszce odrzucone wtył włosy unosiły się w wygiętych, sterczących kosmykach, a spiczaste, ruchliwe brwi spadały w przecinkach, jak broda.

— Pan jest Giovanni Scali, nieprawdaż? — zapytał z uśmiechem.

— Syn prawdopodobnie mówił panu o mnie — rzekł, słysząc ze zdziwieniem swoje imię.

— Tak, ale ja czytałem pana, czytałem pana...

Scali przypomniał sobie; Jaime mówił mu, że ojciec był profesorem. Weszli do pokoju zarzuconego książkami z wyjątkiem dwóch nisz, po obu stronach sofy. W jednej z nich posągi meksykańsko-hiszpańskie, barokowe i dzikie zarazem, w drugiej bardzo piękny Morales.

Alvear przyglądał się Scaliemu przez szkła z ową uporczywą uwagą, jakiej użycza się objektom wyjątkowym.

— Jest pan zaskoczony? — zapytał Scali.

— Zawsze mnie dziwi widok człowieka, który myśli, w tym... kostjumie.

Scali był w uniformie. Na niskim stole, obok dużych, skórzanych foteli, butelka wytrawnego, pełna szklanka, otwarte książki. Alvear opuścił pokój krokiem ociężałym, jakgdyby jego plecy zbyt były masywne dla nóg. Powrócił z drugą szklanką.

— Nie, dziękuję — rzekł Scali.

Mimo zamkniętych okiennic słyszał hałas uliczny i daleką harmonję.

— To źle, ponieważ wytrawny Xeres jest bardzo godny uwagi i prawie równy winu z Charentes. Pozwoli pan coś innego?

— Mój wóz jest na dole do pana dyspozycji. Może pan opuścić Madryt natychmiast.

Alvear, który właśnie zanurzył się w najbliższym fotelu, jak stary, potężny drapieżnik, skurczony i pozbawiony piór, podniósł oczy ku Scaliemu.

— W jakim celu?

— Jaime prosił mnie, ażebym zabrał pana, wracając z ministerstwa. Wracam do Alcali.

Uśmiech Alveara starszy był od jego ciała.

— W moim wieku nie podróżuje się już bez bibljoteki.

— Pan zdaje sobie sprawę, nieprawdaż, że Maurowie będą tu prawdopodobnie jutro?

— Niewątpliwie. Lecz co, do djabła, chce pan, abym robił?

Wstał wreszcie. Przewyższał Scaliego o pół głowy.

— Zawieramy znajomość w okolicznościach bardzo dziwnych... Jestem panu wdzięczny za ofiarowaną pomoc, zechce pan również podziękować Jaime'owi, że pana o to prosił. Lecz ja nie pragnę opuścić Madryt.

— Faszyści wiedzą, że pana syn walczy przeciwko nim...

Alvear spojrzał na Scaliego, jakgdyby myślał: „walczył" — lecz nie powiedział nic.

— Pan zdaje sobie sprawę, że poważnie naraża się na rozstrzelanie?

— Niewątpliwie.

Uśmiech przebiegł po mięsistych powiekach i zwisających policzkach Alveara, szkłami, które trzymał w ręce, wskazał butelkę:

— Kupiłem wino.

Scali zmieszany, szukając przyczyny tego zmieszania, obserwował jego twarz. Był to ten sam nos, ten sam trójkątny zarys twarzy, co u Jaime'a. I te same oczodoły, na które cień kładł w tym momencie jakgdyby wielkie, czarne okulary.

— Chce pan powiedzieć — podjął Alvear — że groźba powinna mnie rozłączyć z...

Wskazał pokryte książkami ściany.

— Dlaczego?... Dlaczego? To dziwne: czterdzieści lat żyłem wśród sztuki i dla sztuki, i pan, artysta, dziwi się, że nie przerywam... Niech pan słucha, panie Scali: kierowałem latami galerją obrazów. Wprowadziłem tu barok meksykański, modernistów francuskich, rzeźbę Lopeza, Georges de Latour'a, prymitywy... Przychodziła klijentka, oglądała Picassa, albo prymityw aragoński: „Ile?" Przeważnie była to arystokratka ze swojem Hispano, brylantami i skąpstwem. „Pani wybaczy, lecz w jakim celu chce pani kupić ten obraz?" Prawie zawsze odpowiadała: „Nie wiem" — „A więc, niech pani wróci i zastanowi się. Jak pani będzie wiedziała, przyjdzie pani powtórnie".

Pomiędzy ludźmi, których spotykał Scali od czasu wojny, nie było przywykłych do gimnastyki myślowej i Scali czuł się tem bardziej porwany przez kontakt intelektualny, który się nawiązywał pomiędzy nim a starcem, im brutalniejsze były jego całodzienne czynności, i ponieważ czuł się słabym, jako oficer, tem silniej pociągał go świat, w którym poruszał się swobodnie.

— I wracały? — zapytał.

— Umiały odrazu odpowiedzieć dlaczego: „Chcę mieć ten obraz, bo mi się podoba, bo jest dobry, bo moja przyjaciółka ma taki". Odmawiałem. A wiedziano, że najpiękniejsze Picasso Hiszpanji są u mnie.

— Kiedy się pan zgadzał?

Alvear podniósł węzłowaty, owłosiony palec.

— Kiedy mi odpowiadały: „ponieważ jest mi potrzebny". Wtedy, jeżeli były bogate sprzedawałem im — bardzo drogo, a jeżeli on lub ona byli biedni, dawałem im.

Zupełnie blisko rozległy się dwa strzały karabinowe, za niemi hałas uciekających na wszystkie strony kroków.

— Przez te wewnętrzne okiennice — rzekł Alvear obojętnie — nie widzi się zupełnie światła dziennego.

— Sprzedawałem podług mojej prawdy, panie Scali. Sprzedawałem! Bezwątpienia, człowiek nie może się posunąć dalej w swojej prawdzie. Tej nocy ja żyję z nią. Maurowie? Nie: to obojętne...

— Pozwoli się pan zabić przez obojętność?

— Nie, nie przez obojętność.

Alvear podniósł się do połowy, nie wypuszczając z rąk poręczy fotela i patrzył Scaliemu prosto w oczy, jakby dla podkreślenia tego, co mówił:

— Przez pogardę. A jednak, widzi pan tę książkę: to Don Kichot. Chciałem właśnie czytać. I nie szło mi...

— W kościołach Południa, gdzie toczono walki, widziałem przed obrazami wielkie plamy krwi. Płótna... traciły swą siłę...

— Potrzeba innych, oto wszystko.

Z brodą nawiniętą na wskazujący palec Alvear rzekł to zdanie tonem kupca, który postanowił poprzewieszać obrazy. Była jednak w jego głosie religijna wiara w sztukę. Zaufanie Scaliego do sztuki poddane było próbie trzech miesięcy krwawych plam.

— Ani powieściopisarze, ani moraliści nie mają pełnego brzmienia tej nocy — podjął starzec. — Ludzie praktyczni nic nie znaczą wobec śmierci. Mądrość jest bardziej śmiertelna, niż piękno. Bo mądrość jest sztuką nieczystą. Ale poezja i muzyka mają znaczenie wobec życia i śmierci. Należałoby przeczytać „Numance". Przypomina pan sobie? Wojna z pewnością posuwa się przez oblężone miasto z tym stłumionym odgłosem biegnących kroków...

Podniósł się, szukał pełnego wydania dzieł Cervantesa i nie znalazł go.

— Wszystko tak się pomieszało z tą wojną...

Scali zrozumiał wreszcie, co od początku rozmowy wywoływało w nim niepokój: cała moc wyrazu twarzy starca skupiała się w jego oczach; z przerażającem niedołęstwem instynktu, kojarzącego przez podobieństwa, Scali za każdym razem, kiedy jego rozmówca odejmował szkła, oczekiwał oczu ślepca.

Alvear wyciągnął z bibljoteki inną książkę, poczem odczytał nagłos dwa ostatnie wiersze słynnego sonetu Quevedo o śmierci.

Palec posuwany wzdłuż wierszy nadawał mu znowu cechy profesora; siedział zgarbiony, stary ptak, w potrójnym schronie: zamkniętego pokoju, fotela i poezji, i czytał powoli, z poczuciem rytmu, tem bardziej przejmującem, że głos był bez dźwięku, równie stary, jak uśmiech. Zgłuszony łoskot uciekających po ulicy kroków, dalekie detonacje, wszystkie hałasy nocy i dnia, które Scali czuł jeszcze, tak jak przylgnęły do naskórka, zdawały się krążyć niby niespokojne zwierzęta dokoła tego głosu, już pogrążonego w śmierci.

— Z pewnością, mogę być zabity przez Arabów. I mogę być zabity także przez waszych, później. To bez znaczenia. Czy trudną jest rzeczą, panie Scali, oczekiwać śmierci, która może nie nadejdzie, pijąc spokojnie i czytając cudowne wiersze? Istnieje w stosunku do śmierci bardzo głębokie uczucie, którego nikt nie wyraził od czasów Renesansu...

„Bałem się śmierci, gdy byłem młody" — powiedział ciszej, jakby nawiasem.

— Jakie to uczucie?

— Ciekawość.

Położył Queveda na półce. Scali nie miał ochoty odejść.

— Czy pan nie odczuwa ciekawości w stosunku do śmierci? — zapytał starzec. — Każdy zdecydowany pogląd na te sprawy jest tak głupi...

— Dużo myślałem o śmierci — rzekł Scali, z dłonią w kędzierzawych swych włosach. — Od czasu jak się biję, nie myślę więcej. Straciła dla mnie wszelką... rzeczywistość metafizyczną, jeżeli pan chce. Raz spadł mój samolot. Pomiędzy chwilą, kiedy przód dotykał ziemi i chwilą, kiedy poczułem się raniony, lekko zresztą, podczas zderzenia, byłem cały gorączkowem czyhaniem, żyjącem czyhaniem: jak i gdzie skoczyć? Myślę teraz, że to zawsze tak jest. Pojedynek: śmierć wygrywa albo przegrywa. Reszta, to są tylko zależności pomiędzy myślami. Śmierć nie jest poważną rzeczą, cierpienie: tak. Sztuka to niewiele wobec cierpienia i żaden obraz nie ostoi się wobec plam krwi.

— Podczas oblężenia Saragossy przez Francuzów, grenadjerzy robili namioty z płócien mistrzów klasztornych. Po wypadzie obóz zapełnili ranni i lansjerzy polscy odmawiali modlitwy pomiędzy rannymi, na kolanach przed Madonnami Murilla, które zamykały trójkątne namioty. To była wiara, lecz także sztuka, bo nie modlili się przed ludowemi obrazami. Pan jest bardzo obyty ze sztuką, lecz nie jest pan jeszcze bardzo obyty z cierpieniem... I zobaczy pan później: cierpienie jest znacznie mniej wzruszające, kiedy się wie, że już się go nie zmieni...

— Biorąca udział w walce część osobowości tych, którzy biją się teraz tam na dworze, nie jest dla mnie najcenniejsza. Chcą tworzyć swój świat. Życzę im powodzenia.

— Czemu w takim razie życzyć im powodzenia?

Alvear położył cygaro.

— W południowej Ameryce — kłąb dymu — rankiem — kłąb dymu — powstaje w lesie wielki lament małp: legenda powiada, że Bóg przyrzekł im kiedyś uczynić z nich ludzi o brzasku. Oczekują każdego świtu i widząc, że są oszukane, lamentują na cały las. Że oszukana małpa płacze i pragnie być człowiekiem, to godne jest szacunku i może mnie wzruszać. Ale kiedy stwierdza swoje człowieczeństwo, bijąc w stół brudną i owłosioną ręką, która wali z hałasem armat, to bardzo żałosne...

Cała rozmowa prowadzona była tym samym powolnym i głuchym głosem. Obraz małp, wzruszający i trochę wzgardliwy, zmieszał go, jak ta twarz zarazem komiczna i poważna, jak głos i niezwykłość tego człowieka.

— W brudnej sztuce rządzenia — podjął Alvear — niech mi tylko nikt nie mówi o arystokratyzmie, arystokracja jest tylko jedna, arystokracja ducha, i ta w niczem nie jest uzdolniona do rządzenia. Być może, że muzyk lepiej mówi o życiu, niż ktokolwiek, lecz tylko nutami...

W mieście rozlegały się strzały karabinu maszynowego, wściekłe i samotne w drażniącej ciszy.

— To jest nieważne. Nieważna jest dla mnie ta część osobowości, którą rozwija człowiek, strzelający w tej chwili. Któż mi powie, że zysk, zdobyty przez wyzwolenie ekonomiczne, będzie większy, niż straty, które pociągnie za sobą społeczność nowa, zagrożona ze wszystkich stron, zmuszona trwogą do ograniczania się, oparta może o donosicielstwo? Niewola ekonomiczna jest ciężka, lecz jeśli, aby ją znieść, jest się zmuszonym do wzmocnienia niewoli politycznej, czy wojskowej, czy religijnej, to cóż mi potem?

Chcę mieć stosunki z ludźmi dla ich natury, a nie dla ich poglądów. Chcę wierności w przyjaźni, a nie przyjaźni zależnej od sądu politycznego. Chcę, ażeby człowiek był odpowiedzialny przed samym sobą — pan wie, że to jest najtrudniejsze, panie Scali, cokolwiek się mówi, — a nie przed sprawą, choćby to była sprawa uciemiężonych. W działaniu bierze

JERZY KAMIL WEINTRAUB

WSPOMNIENIE O GEORGU TRAKLU

Życie Georga Trakla (1887—1914) mogłoby się wydawać przygodnym obserwatorom, aż do wybuchu wielkiej wojny — pełnem niewypowiedzianego spokoju. Bo zzewnątrz wyglądało to tak: była młodość i szkoła w Salzburgu, pobyt w Insbrucku, praca farmaceuty w szpitalu garnizonowym i dobry dom Ludwika Fickera, przyjaciela Georga. Były wieczory pełne wina i milczenia w romantycznych, księżycowych zajazdach, rozmowy z ludźmi o sprawach codziennych, aby tylko popłynąć godzinami dnia i przemyśleń — dalej w noc — a ranem rozpocząć swą wędrówkę odnowa. Ten spokój był tylko pozorny, był jeno osłoną, która przesłaniała patrzącym zzewnątrz niepokoje, fermenty i konflikty, toczące się w psychice poety. Niepewny był jednak ten spokój, skoro podtrzymywały go morfina i weronal. Wewnątrz natomiast udoskonalało się podłoże twórcze, komplikowały się i rozwiązywały problemy przedmiotów, barw i obrazów, by w wyniku ostatecznym dać pełne dziwnego uroku poematy, graniczące czasem z przerafinowaniem, jakże doskonale pokrywające się z przeżyciami niemieckiego poety.

Ten stan rzeczy trwał aż do wybuchu wielkiej wojny. Rok 1914 był ostatnim rokiem życia Georga Trakla, był tragicznym przełomem i zrealizowaniem niejasnych obaw, które Georg Trakl przeczuł już przedtem w swych poematach.

1914. Porucznik Georg Trakl wyrusza na czele kolonji sanitarnej w pole walki. Wojna, krajobraz obszarpany, pełen krwi i śmierci, jęki rannych i umierających — tragicznym kontrastem wtargnęły w życie poety. To, co dotychczas było spokojem, czy raczej, jak się na to zgodziliśmy, opanowaniem zewnętrznem i stanowiło doskonałe warunki, sprzyjające psychicznym przekształtowaniom, zostało nagle zburzone. Oto człowiek stanął bezradny, nie wie, co począć, nie widzi drogi dalej.

Ten stan rzeczy skłonił Trakla do samobójstwa, do prób narazie nieudanych, ale ponawianych niejednokrotnie. Georg Trakl na czele kolonji sanitarnej miał nieść pomoc rannym w Gródku Jagiellońskim, uznanym za punkt sanitarny, w którym jednakże nie było ani lekarzy, ani odpowiednich warunków pracy. „Wokół umierali ludzie — i nie można im było pomóc. Było się skazanym na jakże bolesną obserwację. Po pięciu dniach pobytu w Gródku chciał sobie odebrać życie. Skarżył się: — Nie, ja nie mogę żyć, ja muszę się zastrzelić. Towarzysze starali się go uspokoić, odebrali mu rewolwer...". Oto słowa poety Alberta Ehrensteina. (In memoriam Georg Trakl. Von jüngsten Tag. Kurt Wolf Verlag. Leipzig. 1917).

Ale lekarz regimentu przesłał doniesienie do Krakowa, dokąd Trakl został natychmiast wezwany i poddany obserwacji w krakowskim szpitalu garnizonowym. Badano jego stan psychiczny, chcąc wykazać mistyfikację i uznać go tem samem za zdrajcę. Groziła mu śmierć. To była właśnie traklowska obawa, jakże straszną się okazała, kiedy przybrała konkretne kształty. Ludwik Ficker, przyjaciel Georga, pisze w swoich notatkach, że otrzymał od poety, przebywającego w szpitalu krakowskim, parę kart, robiących wrażenie jakichś dziwnych wołań na pomoc, jakiegoś tragicznego S. O. S. Jasne, jak musiała się ta męka, ten niepokój i strach bezgraniczny, skończyć. 3 listopada 1914 roku Georg Trakl odebrał sobie życie.

Dwa tomy Georga Trakla („Gedichte" i „Sebastian in Traum") stanowią przemyślaną i doskonale skomponowaną całość, w której świetnie widać wytyczne i dążenia poety. Wiersze tomu pierwszego mają duży kontakt z rzeczywistością doświadczalną, niekiedy nawet pejzaż urbanistyczny nosi nawskróś realistyczny charakter. Wersyfikacja tomu pierwszego, oparta na metryce regularnej, nie pozwala poecie rozwinąć bogatych koncepcyj wizualnych. Są one dopiero zapowiedzią, bo krępuje je strofa zbyt mechaniczna i wirtuozerja formalna, która każe budować wiersze na bardzo trudnych schematach wersyfikacyjnych. Tom drugi, w którym spotykamy przeważnie poematy prozą, poszedł w kierunku głębokiej subjektywizacji obrazu i metafory. Toteż nie będzie niesłuszne, jeżeli dostrzeżemy w tych wierszach duże pokrewieństwo z francuskim nadrealizmem, które jednak genetycznie da się całkowicie wyprowadzić. Nadrealizm francuski powstał jako synteza apollineryzmu i ekspresjonizmu niemieckiego, Georg Trakl zaś uważany jest przez historyków literatury niemieckiej (np. **Werner Mahrholz.** Literaturgeschichte), za prekursora ekspresjonizmu. Niema jeszcze w tych wierszach owej dążności do prostoty, która cechuje wybitnych nadrealistów francuskich, jak np. Reverdy... Spotykamy tu, być może, pewnego rodzaju koturnowość, która potrafi jednak przejść w odpowiednim momencie w monumentalizm. Stąd spiżowy niemal ton ostatnich wierszy Trakla. Pod zagęszczeniami ograzowemi i metaforycznemi ukrywają się obawy przed śmiercią i jednocześnie łagodna rezygnacja, pogodzenie się z nieuchronną koniecznością zagłady. Wtedy wiersze stają się niebywale łagodne, jak to ma miejsce w dwóch przepięknych inkantacjach do chłopca Elisa: jedna, będąca spojrzeniem na śmierć z perspektywy przemijającego, jednak regenerującego się czasu, druga — napisana na gorąco, po samym fakcie śmierci, gdzie nie zdołał się jeszcze wytworzyć dystans między twórcą a opisywanem zdarzeniem. Zapowiedzi zagłady zbliżają się nieuchronnie i nabierają coraz ostrzejszych konturów. To wszystko jest symbolicznie upersonifikowane w motywie „wnuka nienarodzonego" (der ungeborene Enkel), który spotyka się w wielu poematach. Ten motyw nie jest niczem innem, jak problemem śmierci, przecinającej drogę przyszłym pokoleniom. Ostatni wiersz Georga Trakla p. t. „Gródek", będący tragicznem pożegnaniem poety, dźwięczy spiżowo, lecz jakże zarazem boleśnie i jest nietylko jednem z największych olśnień w twórczości Georga Trakla. Jest także tragicznym dokumentem epoki:

> O smutku dumny! Twoje spiżowe ołtarze
> ciepły płomień ducha karmi dziś bólem
> najgwałtowniejszym:
> bólem wnuków nienarodzonych.

JESIEŃ SAMOTNIKA

Jesienny czas powraca, zdobny w plony,
Pożółkły blask dni lata, co przekwita.
Błękitu biel zza ciemnej lśni osłony,
Gdzieś ptaków lot rozebrzmiał w starych mitach.
Już tłoczą wino. Łagodnej ciszy dzwony
W powolnych odpowiedziach ciemnych pytań.

I tu i tam lśni krzyż, gdzie wzgórza rdzawe.
I głosy trzód wśród leśnej brzmią czerwieni.
Szeregi chmur wędrują ponad stawem.
Wieśniaka krok, co czuwa wśród jesieni.
Tylko wieczoru skrzydło niebieskawe
Trąca dach z słomy, czarny bezmiar ziemi.

Zmęczone brwi gniazdami gwiazd zakwitły.
A dobry czas nawiedził chłodny pokój.
Anioły wypełzają spod błękitnych
Oczu kochanków w cierpień słodki spokój.
Szumi wśród trzcin; i strach opada skryty,
Gdy w pustkę łąk mży czarna rosa mroku.

GRÓDEK

Pod wieczór dźwięczą lasy jesienne
Śmiertelną bronią, złote równiny
I modre jeziora, nad któremi słońce
Stacza się posępnie; noc oplata
Umierających żołnierzy i dziką skargę
Ich złamanych warg.
Lecz cicho zbierają się wpośród łąk namokłych
Czerwone chmury, kędy bóg gniewny mieszka,
Kędy krew się sączy w księżycowy chłód.
Wszystkie drogi uchodzą w czerń gnijącą.
Pod złotą okiścią nocy i gwiazd
Chwieje się cień siostry wpośród milczącego gaju,
Pozdrawiającej duchy bohaterów i czoła,
Broczące krwią.
I wolno dźwięczą wśród trzcin ciemne flety jesieni.
O smutku dumny! Twoje spiżowe ołtarze
Ciepły płomień ducha karmi dziś bólem
Najgwałtowniejszym:
Bólem wnuków nienarodzonych.

przełożył Jerzy Kamil Weintraub

---

udział tylko bardzo ograniczona część osobowości ludzkiej. I tem mniejsza część, im pełniejsze wydaje się działanie. Pan dobrze wie, jak trudno jest być człowiekiem, panie Scali, o ile trudniej, niż przypuszczają politycy...

Scali chodził wzdłuż i wszerz pokoju.

— Pan myśli, że Jaime nie powinien był walczyć?

Alvear wzruszył zgarbionemi ramionami, policzki opadły mu jeszcze bardziej.

— Niechby kraj był faszystowski, byleby on nie był ślepy...

Przejeżdżało auto, zgrzytając zmieniło szybkość, zniknęło.

— Jedyna nadzieja, jaką ma Hiszpanja — podjął Alvear — to zachowanie tego, o co walczy pan, Jaime i wielu innych, to, czego ja od wielu lat nauczałem, jak mogłem najlepiej...

Alvear słuchał czegoś na dworze, podszedł do okna.

— To znaczy? — spytał Scali.

Starzec odwrócił się i rzekł tonem, jakgdyby mówił: Niestety!

— Wartości człowieka...

Słuchał jeszcze, poszedł zgasić światło, odemknął okno, przez które wdarła się ponad hałasem kroków **Międzynarodówka.** W ciemnościach głos jego bardziej był jeszcze przytłumiony, jakby wychodził z mniejszego, smutniejszego i jeszcze starszego ciała.

— Niech pan słucha, myślę, że pan tego nie zapomni. Co do mnie, zgadzam się, aby to były ostatnie dźwięki, przychodzące do mnie z zewnątrz, przed uzbrojonymi żołdakami. Jeżeli w tej chwili wejdą Maurowie, ostatnią rzeczą, jaką usłyszę, będzie ta pieśń nadziei, grana przez ślepca...

Mówił bez uniesienia, może z nieznacznym uśmiechem. Scali słyszał stuk zamykanych okiennic. Przez chwilę było w pokoju zupełnie czarno; wreszcie Alvear znalazł wyłącznik i zaświecił.

— Bo im potrzebny jest nasz świat w klęsce i potrzebny im będzie w radości...

Patrzył na Scaliego, który właśnie usiadł na sofie.

— I to nie bogowie stworzyli muzykę, panie Scali, lecz muzyka stworzyła bogów...

Nalał sobie szklankę wina, wychylił do dna bez zmiany wyrazu. Pole światła lampy obejmowało zaledwie czoło i kręcone włosy Scaliego.

— Usiadł pan na miejscu, które zajmuje zwykle Jaime, gdy przychodzi. Kiedy zdejmuje okulary nie mogę patrzeć na jego twarz...

Po raz pierwszy akcent cierpienia zadrżał w jego bezdźwięcznym prawie głosie. I zacytował cicho dla samego siebie, nie patrząc nawet na Scaliego:

„I na cóż ci było, Priamie, dożyć sędziwego wieku!...".

Ze zmarszczonem pod zwichrzonemi włosami czołem powiódł po Scalim spojrzeniem swych oczu zarazem dziecinnem i osaczonem.

— Niema nic straszniejszego, jak zniekształcenie ciała, które się kocha...

— Jestem jego przyjacielem — rzekł Scali półgłosem — i przyzwyczaiłem się do rannych.

— Jakby naumyślnie — rzekł cicho Alvear — wprost naprzeciw jego oczu są półki biblioteczne, zawierające książki o malarstwie, tysiące i tysiące fotografij, które on oglądał... Lecz kiedy nastawiam patefon, kiedy wkracza tu muzyka, mogę patrzeć na niego nawet wtedy, kiedy nie nosi szkieł...

André Malraux
przełożyła Ewa Brandt

GEORG TRAKL*)

PIEŚŃ KASPARA HAUSERA

On kochał prawdziwie słońce, co purpurą spadało na wzgórza,
Drogi leśne, śpiewającego ptaka czerni
I radość zieleni.

Słuszne było jego mieszkanie w cieniu drzew
I czyste jego oblicze.
Bóg mówił łagodnym płomieniem do jego serca:
Człowieku!

Miasto pod wieczór cicho witało jego krok,
Ciemną skargę jego ust:
Chcę świat przemierzyć.

Ale tropiły go krzaki i zwierzęta,
Dom i zmierzchający ogród białych ludzi
I szukał go morderca.

Wiosna, lato i piękna jesień
Sprawiedliwych; szedł swoim wolnym krokiem
W pokoje marzących.
Nocą został samotny przy swej gwieździe.

Patrz, jak śnieg sypie się w puste gałęzie
A w zmierzchającym przedsionku cień mordercy.

Srebrnie opadła głowa nienarodzonego.

WZDŁUŻ

Już zboże i grona skoszono.
Miasteczko nad ciszy lśni tonią.
Młot i kowadło w kuźni dzwonią;
Śmiech pod okiścią czerwoną.

Astry pod płotem rosnące
Białemu dziecku przynieś.
Powiedz, czy ślad nasz prędko zginie;
Czarno wypłynąć chce słońce.

Czerwona rybka w jeziorach;
Czoło, co trwożnie się słucha;
Wiatr wieczorny wolno w okna dmucha,
Niebieski organów chorał.

Gwiazdę w łagodnej jasności
Ukaż raz jeszcze na drodze.
Zjawienie matki w bólu i trwodze:
Czarne rezedy w ciemności.

*) Przekłady wyjęte z tomu p. t. Georg Trakl.

PRZYPOMNIENIA

Odezwa Garibaldiego
ogłoszona w lutym 1863 r.

NARODY EUROPY!

Nie opuszczajcie Polski. Obowiązkiem wszystkich ludów jest pomóc temu nieszczęśliwemu narodowi, który daje w tej chwili świetny dowód siły rozpaczy. Bez broni, pozbawiony swej dzielnej młodzieży, wygnanej lub uwięzionej, powstał, jak olbrzym: mężczyźni opuszczają miasta i udają się do lasów, postanowiwszy zwyciężyć lub umrzeć. Kobiety rzucają się na stróżów więziennych, zabierających i oślepiających dzieci ich.

Nie opuszczajcie Polski. Nie czekajcie, aby was doprowadzono, jak ją, do rozpaczy. Nie dopuśćcie, aby dom waszego sąsiada spalił się, jeżeli chcecie, aby w razie pożaru, który może ogarnąć wasze mieszkanie, dano wam także pomoc.

Rumuni znad Dunaju, Węgrzy, Niemcy, Skandynawi, wy jesteście przednią strażą ludów w walce na śmierć, która obecnie toczy się na sławnej ziemi Sobieskiego i Kościuszki. Walka ta jest to walka despotyzmu z prawem. Jest to epizod tragiczny z dziejów kradzieży, popełnionej przez trzy północne sępy nad wolnością i życiem jednego z najszlachetniejszych narodów Europy. Jest to rozstrój siły brutalnej przeciwko porządkowi, pod którego osłoną człowiek chce żyć we własnym domu i z własnej pracy; rozstrój ten trwać będzie dopóty, dopóki wolno będzie rzeźnikowi koronowanemu obalać toporem nieszczęśliwego sąsiada.

Nie opuszczajcie Polski. Naśladujcie przynajmniej waszych tyranów: oni nie opuszczają siebie.

Waleczni Węgrzy mieli niedawny tego przykład: zwycięzcy Austrji zostali zgnieceni przez jej wspólniczkę, Rosję.

A ty, straży Alp, czoło Europy, następczyni Grutli, rzuć twój karabin republikański na szalę Europy, zobaczysz, ile on waży.

Nie opuszczajcie Polski. Jeżeli my wszyscy jej pomożemy, spełnimy święty obowiązek, i świat będzie mógł urządzić się zgodnie z powszechnem szczęściem, które jest celem ludzkości.

*

Odezwa Garibaldiego znajduje się w książce: Rok 1863. Wyjątki z dzieł i pamiętników. Dokumenty. Odezwy. Zebrała dr. Ewelina Wróblewska.

JERZY BOREISZA

O STEFANIE CZARNOWSKIM

I

Skrzypiał i chrzęścił pod nogami biały śnieg; na czele orszaku grupa akademików z czerwonym sztandarem; na ramionach uczniów i przyjaciół trumna kołysząca się w marszu; wokół cisza cmentarna, krzyże i pomniki żołnierskie — trudno zapomnieć wysoką postać w letni dzień na skąpanem w słońcu Krakowskiem Przedmieściu, postać nieco zgarbioną w oparciu o laskę, w rozchełstanej koszuli, w sandałach na bosych nogach. Padały nad grobem słowa przemyślane i wymierzone, jak grudy zlodowaciałej ziemi, o walce z „zaciemnianiem" — i trudno było zapomnieć twarz, o wielkiem czole, okolonem siwym włosem, kurczącą się z bólu wokół szerokich ust, gdy mowa była o rozwydrzonem chamstwie i barbarzyństwie. Gdy grabarze miarowym ruchem poczęli zasypywać trumnę, jakże można było nie wspomnieć profesora Stefana Czarnowskiego z tak młodzieńczą swadą, z takim zapasem energji rozprawiającego o bliskich mu sprawach.

Szukał w historji wielkich kultur Zachodu, w pierwotnych cząstkach legend, religji, wielkich prądach ideologicznych — elementów łączności kultury. Poprzez wielką erudycję wrosło w jego świadomość przekonanie o równości ludzi oraz ich braterstwie z tą samą mocą, z jaką to przekonanie wrasta, innemi ścieżkami krocząc, w świadomość każdego robotnika. Szukał więzów wspólnych kultury wszędzie, w legendzie świętego Patryka, w legendzie świętego Krzysztofa, i z łatwością przenoszenia porównań, jaka charakteryzowała jego myśl, odnajdował wpływ „umiędzynarodowienia kultury klasycznej, która jedynie mogła ułatwić powstanie tych dzieł" („Św. Patryk"). A potem, po długich latach, gdy pisał o Europie średniowiecznej czy o kulturze religijnej ludu wiejskiego, z niezwykłą zdolnością wyszukiwania analogij historycznych odnajdował zawsze poprzez wielopostaciowość — wspólne pierwiastki.

W przeświadczeniu o braterstwie kultury ludzkiej Stefan Czarnowski — patrjota polski, oficer frontowy, wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej — pragnął wnieść do rodziny narodów kwiat dorobku swego narodu. Należało jednak wyrzec się wielu złudzeń, należało rezygnować z wielu postulatów. Serce słabło w walce i nie pozwalało na taki wysiłek energji, jaki dyktowało sumienie i jakiego wymagała chwila. Gdy przybyła wieść o proteście uczonych amerykańskich w związku z wypadkami w kraju — ból szarpnął. Toć to im, tym uczonym, których znał, których szanował, z którymi korespondował — toć im pragnął ukazać Polskę, nie papugę narodów, a przodownicę w wielkiem dziele kultury!

Szamotał się ze sobą Profesor, szukał wyjścia, drogi najodpowiedniejszej. Duszno było w tej atmosferze! Nerwowo drżała ręka, gdy jeszcze przed śmiercią wydzwaniał telefony nielicznych przyjaciół, pragnąc wspólnie naradzić się nad sytuacją. Miałażby się ta Polska, o którą walczył, shańbić w wielkiej rodzinie narodów? — Ból wstrząsał sercem. Takich serc zostało niewiele: duszno było! Duszno w atmosferze karjerowiczów i konformistów, zakłamanych „demokratów" i filistrów. Tyle bólu serce znieść nie mogło.

II

Usiłowano pracę naukową profesora Czarnowskiego uklasyfikować w obrębie wpływów szkoły Emila Durkheima. Chociaż szkoła ta wywarła zapewne decydujący wpływ na całokształt dorobku naukowego Czarnowskiego, należy jednak podkreślić szereg rozbieżności. Rzecz jasna, w poniższych luźnych uwagach chodzi nam nie tyle o dorobek pracy naukowej, do której St. Czarnowski doszedł — wymagałoby to oceny piór fachowych w dziedzinach tak licznych, jakie zaprzątały jego umysł — ale raczej o scharakteryzowanie **niektórych cech metody pracy i ujęcia zagadnień.**

Emil Durkheim stanowi w socjologji francuskiej przełomowy etap: usiłuje on odgraniczyć socjologję od nauk przyrodniczych i psychologji indywidualnej. Zadaniem socjologji — twierdził — jest zająć się faktem społecznym, metodą jej jest porównanie, analizowanie faktów, opisywanie i klasyfikowanie, przy zachowaniu ostrożności w próbach uogólniania. W tej trosce o wyodrębnienie, o specjalizację pola działania naukowego jest kontynuatorem Augusta Comte'a. Wyzwalając jednak socjologję ze zbytniego wpływu nauk przyrodniczych i psychologji, „wyzwolił" ją równocześnie Durkheim spod wpływu materjalizmu przyrodniczego.

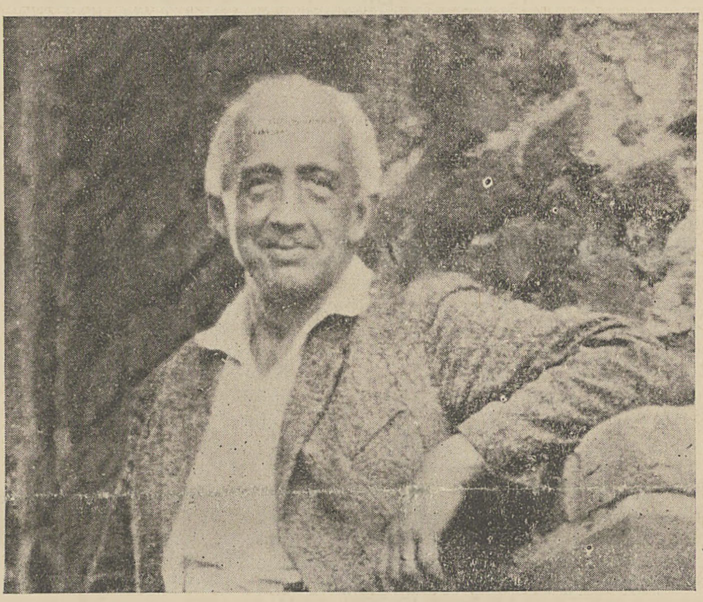
Należy bowiem pamiętać o przemianach na przełomie wieków w mieszczańskiej nauce francuskiej, która usiłowała nagwałt odgraniczyć się od materjalizmu XIX wieku i wkraczała już w okres, gdy dominować w niej będą koncepcje antymaterjalistyczne, gdy wielki wpływ wywierać będzie Henryk Bergson. Durkheim, wyzwalając socjologję spod wpływów biologizmu, równocześnie usiłował spleść ją i związać z przemyślnym systemem metafizyki pozytywistycznej, który sam stworzył. Dodał do metody badania faktu społecznego filozofję socjologji — socjologizm — opierający się na pojęciu świadomości kolektywnej, którą usiłuje przeciwstawić świadomości indywidualnej. Durkheim, socjolog mieszczaństwa trzeciej republiki, stwarza poniekąd sztuczny konflikt między abstrakcją, jaką jest w jego definicji jednostka, a drugą abstrakcją, jaką jest, zdaniem naszem, w jego pojmowaniu moralność kolektywna. Wzorem tego typu uczonych zapomina o istnieniu marxizmu, wprowadza zamiast „klasy", pojęcie „grup zawodowych", mających być osnową społeczeństwa.

W taki sposób Durkheim, wprowadzając **szereg postępowych inowacyj do metody dotychczasowych badań socjologji mieszczańskiej**, omotał ją antymaterjalistyczną filozofją. Zdaje się, że wszyscy uczniowie Durkheima odrzucili metafizykę swego mistrza, sprowadzając rolę socjologji, jak to sformułował Stefan Czarnowski w swych uzupełnieniach do „Wprowadzenia do socjologji" René Mauniera (1932) do: „1. badania czynności, badania praktyk społecznych oraz badania instytucyj (wówczas, gdy czynności są ustalone i powtarzane tradycyjnie, gdy są zwyczajami); 2. badania wyobrażeń i wzruszeń zbiorowych związanych z temi czynnościami". Zadaniem socjologji w tem sformułowaniu jest raczej drobiazgowe badanie zjawisk społecznych, bez przyjmowania syntezy monistycznej (jednościowej), przy uznaniu poszczególnych czynników jako równorzędnych. Inna sprawa, że większości uczniów Durkheima ten pluralizm — uznawanie równorzędności przyczyn działających społecznie — nie wystarczał i musiał doprowadzić do bardziej lub mniej połowicznych sformułowań marxistowskich.

Już w pracy Czarnowskiego o narodowym bohaterze Irlandji, świętym Patryku (1919), zaznaczyły się pewne rozbieżności z Emilem Durkheimem. W dziele tem zakreślił Czarnowski zadanie swej pracy w następujący sposób: „Chodzi o zbadanie sprawy autorytetu społecznego, jako formy konkretnej, w jakiej ukazują się podstawowe wartości socjalne: bohaterowie są jedną z tych form, i to najbardziej typową". Święty Patryk nie ukazuje się zatem, jako zjawisko psychologiczne, ale jako zjawisko socjologiczne. Mitologja, rozpatrywana nie w oderwaniu, ale w powiązaniu — powiedziałbym — z atmosferą społeczną, to już jest bezwątpienia postęp w religjonistyce. W szereg lat później, w swej pracy o „Kulturze religijnej ludu wiejskiego" określił Profesor granice badań w dziedzinie religji w następujący sposób: „Chodzi jedynie o to, że w każdej religji pozytywnej, czy będzie nią którekolwiek z wyznań chrześcijańskich, czy islam, czy buddyzm, — z każdej powiadamy, wziętej w jej całokształcie, można wydobyć jej w danej chwili rozwoju obowiązujący **wzór**, normujący **praktykę** poszczególnych ludów i warstw, niemniej dopuszczający odchylenia i niedociągnięcia, dopuszczający nawet przekształcenia, zależne od stopnia i charakteru kultury ogólnej, którą żyje każda poszczególna społeczność" („Wiedza i Życie", r. 1937, zesz. 4—5).

Mamy więc tu jakgdyby zgóry rezygnację z powiązania samego faktu istnienia religji oraz jej rozwoju z dynamiką socjalno-historycznego rozwoju. Toteż w swej pracy o świętym Patryku poświęca Stefan Czarnowski najwięcej miejsca drobiazgowej analizie tej legendy oraz jej praktyki, jak słusznie zauważa we wstępie prof. M. H. Hubert: „Autor zajmuje się mniej uogólnianiem, aniżeli analizą, i być może mniej teorją". Czarnowski sprowadza więc szereg elementów legendy do faktów socjalnych. Ale nie poprzestaje na tem: w przeciwieństwie do carlyle'owskiego mistycyzmu lub wundtowskiego psychologizmu, daje zobrazowanie ustroju społecznego Irlandji w okresie świętego Patryka, analizując ówczesną rodzinę, ród, klan, posługując się durkheimowskiem określeniem grup społecznych. W szeregu innych prac Stefana Czarnowskiego występuje pojęcie „klasy". Tak będzie w rozprawie „O ludziach zbędnych w służbie przemocy", jak również i w pracy o prądach religijnych w Polsce. „Klasa" nie jest tu jednak węzłową definicją podziału społecznego.

Stefan Czarnowski nie poprzestaje również na statycznym opisie elementów socjalnych epoki świętego Patryka, lecz szuka dynamiki w walce druidów z filidami, ukazuje przekształcenie i powstawanie więzi narodowej w Irlandji, wzrost chrześcijaństwa na tle przełomu socjalnego; wielkość Patryka unaocznia właśnie w jego zdolności powiązania, skojarzenia nowej wiary z rolą społeczną filidów, we wrastaniu i przekształceniu się tych pieśniarzy irlandzkich i rozsadników kultury narodowej w kler nowej religji. Należy jednak zaznaczyć, iż odgrodziwszy się od „socjologizmu" durkheimowskich teoryj, Czarnowski nie przejmuje monistycznej, „jednościowej" metody zanurzenia sondy badacza wgłąb zjawisk dla wyszukania tej jedynej, dynamicznej i nadrzędnej siły, warunkującej kierunek rozwoju. Wierny swoim założeniom zadań socjologji, poprzestaje na powiązaniu praktyki religijnej ze zjawiskami, zdaniem jego, równorzędnemi, oddziaływającemi na społeczeństwo; jest to więc trzymanie się terenu faktów, przy odrzuceniu jednak próby odnalezienia poprzez gąszcz przyczyn współrzędnych jedynej, dominującej, która pozwoliłaby uszeregować zjawiska społeczne w monistyczną całość, ukazać je w **proporcji i perspektywie, zależnej od tego czynnika nadrzędnego.**



Stefan Czarnowski

W końcu tego dzieła znajdujemy próbę określenia charakteru bohaterów. „Charakter bohaterów zostaje określony przez warunki społeczne, w których rozwijała się ich legenda, typ bohaterów i świętych odzwierciedla sobą określony stan socjalny"; „jest rzeczą pewną, że bohater jest przedstawicielem wybranym danej grupy lub danej rzeczy. W odniesieniu do świętego Patryka twierdząc, że jest on bohaterem narodowym, ustaliliśmy zasadę klasyfikacji bohaterów. W rzeczy samej, bohaterowie powinni być rozróżniani jedni od drugich w zależności od natury więzów, które łączą członków danej grupy".

Znacznie później, pisząc o Hiszpanji i typie rewolucji hiszpańskiej wypowie Stefan Czarnowski (rok 1937) następujące określenie roli bohaterów: „Współdziałanie filozofów społecznych i filozofów historji oraz socjologów i historyków oduczyło nas — przynajmniej wielu z nas — historycznego indeterminizmu. Nie zaprzeczając bynajmniej doniosłej roli, granej w oznaczaniu zdarzeń społecznych przez osobowości wybitnych lub mniej wybitnych, cnotliwych czy zbrodniczych jednostek, uznajemy, że osobowość ta nie jest pierwszym początkiem zdarzeń, że sama w początku swoim, rozwoju i działaniu uwarunkowana jest społecznie, że w tem znaczeniu jest ona „wytworem zbiorowości". Nie zaprzeczamy znaczenia Marata, Dantona czy Robespierre'a. Ale stwierdzamy, że w warunkach podobnych pojawiają się na widowni dziejowej osobistości, aczkolwiek nie identyczne, to jednak pokrewne w rolach pokrewnych".

Jak wynika z powyższych definicyj, mimo odrzucenia monizmu, nie obcy był Czarnowskiemu ani determinizm dziejowy, ani szereg terminów marxistowskich z dziedziny „praktyki" społecznej, nie była również Czarnowskiemu, jego systemowi myślenia, obca dialektyka. W uzupełnieniach do „Wprowadzenia do socjologji" René Mauniera (1932), mówiąc o strukturze społecznej, twierdzi Profesor: „Wszystko to, co nazywamy morfologją, strukturą materjalną jest w nieustannym ruchu. Tak, że niepodobieństwem jest oddzielić ruch ten od struktury. Każda ma swoją dynamikę i każdy przekrój przez nią jest abstrakcją". I dalej mówiąc o zjawisku różnicowania się i całkowania zjawisk społecznych, o rewolucji i ewolucji daje prof. Czarnowski próbkę myślenia dialektycznego. Ale — powtarzamy — przyjmując szereg założeń dialektycznego sposobu myślenia, nie schodzi Czarnowski z pozycji pluralizmu, uznania równorzędności działania szeregu zjawisk, który to pluralizm przeradza się często w dualizm, to znaczy w uznanie równorzędności zjawisk ducha i materji („Idee kierownicze ludzkości", 1928).

Przyszły zatem historyk prądów socjologicznych w Polsce, chcąc umiejscowić metodę naukowych badań Stefana Czarnowskiego, będzie zmuszony rozpatrzeć liczne prace Profesora, jako **proces** w rozwoju, biorąc pod uwagę szereg przemian. Pamiętajmy również o tem, że Stefan Czarnowski był socjalistą typu Jean'a Jaurès'a, który wszak również odrzucał dialektykę materjalistyczną. Źle jednak czynią ci zwolennicy dialektycznego materjalizmu, którzy nie potrafią w różnych prądach szkół innych — nie rezygnując z własnej pozycji — ujrzeć proces przekształcania się, odróżnić kierunek tego rozwoju, wyłowić nurt postępowy w przeciwieństwie od nurtu wstecznego. Dotyczy to nietylko socjologji, ale i wszelkich innych dziedzin badań.

Ci spośród nas, którzy nie będąc uczniami Profesora, wyrośli w niezłomnem przekonaniu, że jedynie metoda marxistowska pozwala oświetlić w objektywny sposób bieg wypadków społecznych, ukazać ich proporcję, odrzucić rzeczy przypadkowe i mniej ważne od spraw istotnych, — muszą schylić czoła przed wielkim materjałem naukowym, zebranym w pracach Stefana Czarnowskiego, przed wielką intuicją badawczą, która pozwoliła mu na wskazanie szeregu dziedzin, leżących odłogiem, jak naprzykład sprawy „Ludzi zbędnych w służbie przemocy" („Głos Współczesny", r. 1936). Ci spośród nas, dla których podstawą światopoglądu jest myśl wyzbyta fideizmu muszą przyznać, iż w wielkim dorobku pracy na niwie religjoznawstwa Stefana Czarnowskiego uzyskaliśmy bogaty plon szczerej i rzetelnej pracy, wyzwolonej spod klerykalnego czadu, plon pracy, który szereg „praktyk" religijnych ukazał w należytem świetle.

Toteż szczery jest nasz żal, iż w kwiecie rozwoju i pracy naukowej nie stało Stefana Czarnowskiego. Tem bardziej, iż z młodzieńczym zapałem, czujnem okiem i rzetelną pracą odnosił się do wszelkiej pracy innych. Dzieło swego życia pozostawił niedokończone, przekazując młodemu pokoleniu, które ukochał i wychował, troskę o kontynuowanie swej pracy. Pracy niezwykłego uczonego, nauczyciela i wychowawcy.

III

Trudno przeprowadzić granicę między Stefanem Czarnowskim, wielkim erudytą, niezmordowanym i niespokojnym badaczem, a Czarnowskim, wychowawcą młodego pokolenia. W stosunku do swych uczniów, i nietylko uczniów, był zaborczy, radząc i pomagając, wnikając w indywidualne uzdolnienia, upodobania i z wielkiem doświadczeniem, w ciągu długich lat obcowania z młodzieżą uzyskanem, wskazywał każdemu jego właściwą drogę pracy.

Jego wpływ wychowawcy był tem większy, że nie narzucał swej myśli, ułatwiając samodzielną pracę, samodzielne poszukiwania. Jak obce mu były wszelkie dyskryminacje, tak samo obca była wszelka nietolerancja. Potrafił zdobyć się na objektywizm w sferze, gdzie rozpanoszyło się nierzetelne, subjektywistyczne wypaczanie obcych tekstów, eklektyzm najpośledniejszego rzędu, mgławicowość i brak zdolności do rzetelnej definicji, zakorzeniony w młodem pokoleniu przez epigonów młodopolskich i brzozowszczyznę.

Zamiast histerji i ponurości, findesiècle'izmu i weltschmerzów wnosił do swego otoczenia pogodę ducha, jasność i często — kąsającą ironję. Nie znosił ani niepotrzebnego patosu, ani zbędnego narcyzyzmu inteligenckiego. On to, gdy mu składano życzenia w związku z nominacją na zwyczajnego profesora, odrzekł: „Tak, obecnie za ordynarność płaci się więcej" (ordinaire — po francusku zwyczajny).

Tak jasna, pogodna i świetlana pozostanie nazawsze niezapomniana postać Stefana Czarnowskiego nietylko w pamięci jego najbliższych i uczniów, ale tych, którym było dane nawet przelotnie zetknąć się z tym mędrcem o sokratesowem obliczu.

ARTUR BARDACH

Twórczość naukowa Stefana Czarnowskiego

Horyzont naukowy Stefana Czarnowskiego był tak szeroki, że nazwa uczonego wydaje się być mocno niewystarczająca. Kogo bowiem nazywamy dziś uczonym? Uczony to specjalista, najczęściej, w związku z daleko posuniętym podziałem pracy naukowej, bardzo wąski specjalista. Czarnowski specjalistą nie był. Ten znakomity religjonista, autor „Św. Patryka", przedstawiciel nauki polskiej na międzynarodowych kongresach religjonistycznych, wybitny celtolog, autor „Literatur celtyckich", socjolog, którego Francuzi powołali na wykłady z dziedziny socjologji francuskiej do słynnej uczelni w Paryżu **l'Ecole Pratique d'Hautes Etudes**, historyk i socjolog kultury, którego praca o „Kulturze" kładzie podwaliny pod tę, przyznajmy się, nową jeszcze w Polsce naukę, badacz i znawca stosunków społecznych w Polsce w w. XVIII, autor cennych rozpraw o rozwoju myśli społecznej w Polsce wieku XVIII-go i o Staszicu, świetny filozof poznania, który w studjum pośmiertnem o „Argonautach" otwiera przed nauką nowe drogi badania społecznych warunków tworzenia się pojęć naukowych (w danym wypadku geograficznych) — przypomina raczej renesansowego mistrza (może nawet, jak się ktoś wyraził, ateńskiego filozofa z okresu klasycznego), aniżeli współczesnego nam, wyspecjalizowanego uczonego. Czarnowski nie mieścił się w ramach dzisiejszej organizacji nauki uniwersyteckiej, wyrastał ponad nią i swojemi zainteresowaniami i badaniami przyczyniał się do nawiązania kontaktu pomiędzy napozór odległemi dziedzinami nauki, torując drogę ich przyszłemu scaleniu. Nie było to sprawą przypadku, że gdy został profesorem na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, trzeba było stworzyć dla Niego (ad personam) osobną katedrę oraz osobny „Zakład socjologji i historji kultury".

Ta wspomniana powyżej „uniwersalność" i „syntetyczność" stanowiły najbardziej charakterystyczną cechę twórczości naukowej Czarnowskiego. Ale nie jedyną, któraby Go wyróżniała spośród ogółu naukowców. Stosunek Czarnowskiego do świata pracy, jako współtwórcy kultury, tak dobitnie podkreślony w jego kapitalnem dziele o „Kulturze" był, poza Marxem, jedyną próbą włączenia poprzez analizę naukową najszerszych mas do procesu wytwarzania kultury. Czarnowski był wielkim entuzjastą Marxa, powiedzmy Marxa z pierwszego tomu „Kapitału", Marxa, który w wartościotwórczej pracy widział podstawową funkcję życia społecznego. Podobnie i Czarnowski. „Skoro kultura składa się z elementów zobjektywizowanych, z rzeczy społecznych, — pisze w podstawowym artykule metodologicznym o „kulturze" („Wiedza i Życie", 1932/10) — musimy odnosić się do kultury jako do

nagromadzonych wytworów społecznych... Takie wytwory powstawać mogą tylko w warunkach zorganizowanych zbiorowości ludzkich, czyli w społecznie ustalonych formach współdziałania i współzawodnictwa. Przez pracę“. Jak to rozumieć należy, wyjaśnia na przykładzie analizy „narodzin wielkiej kultury greckiej“ (a rozwija w znanym artykule o kulturze proletarjatu przemysłowego).

„Zapewne — nie z wyrobników, nie z rzemieślników, nie z chłopów uciskanych przez ziemian rekrutowała się większość filozofów, badaczów, poetów greckich. Chłop Hezjod jest wyjątkową postacią... To prawda. Ale ta ogólna postawa w stosunku do spraw boskich i ludzkich, której na imię człowieczeństwo (w czem Profesor widział istotny element wielkiej kultury greckiej), była owocem zbiorowego wysiłku. Najwięcej zaś przyczyniła się do jej wytworzenia ta najliczniejsza rzesza, która poza swem człowieczeństwem nie miała nic, rzesza tych, którzy wysiłkiem ramion i sprawnością palców, zręcznością i ostrością umysłu, zastosowanego do materji, utrzymywała się przy życiu i tworzyła nieustannie“. Wiemy z historji społecznej ostatniego półwiecza, jaką rolę w procesie budzenia godności świata pracy, w procesie przetwarzania się masy proletarjuszy, wydziedziczonych z środków produkcji, w klasę społeczną, porywającą się do zbudowania nowego ładu, odegrała teza Marxa o kapitale, jako zakumulowanej pracy robotników. Czarnowski idzie w ślady Marxa i wskazuje na udział greckiego proletarjatu w narodzinach i rozwoju wspomnianej kultury greckiej. „Chłopi, uprawiający oliwki i winnice na zboczach i rybacy, zmuszeni do poznawania zwyczajów ryb morskich, garncarze, lepiący na kole czary i piękne kratery, szewcy, umiejętnie tłoczący skórę na sandały, tak, by zadowolić najwybredniejszą modnisię, i ciężkie młoty opuszczający na żelazo kowale, bronzownicy, złotnicy, tak wyśmiewani przez Arystofanesa kiełbaśnicy, oto ludzie, którzy wytworzyli warunki rozwoju ducha greckiego“. Tak o „cudzie helleńskim“ jeszcze nikt nie pisał. Snobistycznemu ujęciu greckiej kultury, przekazanemu nam przez estetyzujących filologów, przeciwstawia Czarnowski jej pojmowanie jako harmonijnej całości rzeczy społecznych, wytworzonych przy czynnym współudziale pracującego ludu ateńskiego.

Człowieczeństwo, humanitaryzm, głęboka miłość człowieka były cechą nietylko charakteru Czarnowskiego, ale i Jego naukowej twórczości. W ramach Jego systemu socjologicznego biedota, „łazęgi“, „gołota“, ogólnie „ludzie marginesowi“, „elementy, jak się wyrażał, które przez potok życia wyrzucone zostały... poza nawias regularnych stosunków społecznych“, zajmowały miejsce ważne. Pojmując życie społeczne „przestrzennie“, bada jego przebieg nietylko w centrum, ale i na peryferjach i tam wśród najbiedniejszych spośród biednych doszukuje się źródeł nowych wartości kulturowych. To, że wymienione elementy — pisze w artykule o „Kulturze biedoty w wiekach średnich“ — nie są zdolne do wytwarzania kultury, wiążącej się w całość jednocześnie oryginalną i organiczną, wydawać się nam może tylko na pierwszy rzut oka, gdy nie sięgamy w analizie faktów dostatecznie głęboko. Powołuje się na klasyczny przykład św. Franciszka z Assyżu i na pierwsze drużyny jego współpracowników. „Kogóż widzimy wśród jego towarzyszy? Klerka uczonego, który za mistrza przykładem poszedł żyć życiem bezdomnego włóczęgi; paru zbójów, splamionych przelewem krwi ludzkiej; jednego niedorozwiniętego; brat „Jałowiec“; kilku innych różnego stanu i pochodzenia, wszystkich sponiewieranych przez życie, upośledzonych, skrzywdzonych, wykolejonych. To pierwsza dwunastka uczniów. A czegóż nie dokonała ta dwunastka! I jak wielkich rzeczy dla postępu kultury europejskiej dokonały te wszystkie, wśród wykolejeńców, włóczęgów, nędzarzy powstałe sekty heretyckie...“. Powstanie nowych wartości kulturowych wśród biedoty nie jest faktem odosobnionym, który udało się Czarnowskiemu, bystremu historykowi kultury, wyłowić z materjału historji późnego średniowiecza. Jest prawem socjologicznem. „Ponad uznaną hierarchję społeczną wynosi się jej zaprzeczenie“ — tak brzmi ono w Jego sformułowaniu.

Cytowany artykuł o „kulturze biedoty“ uzupełnia Profesor w przygotowanym do wydania książkowego rękopisie przypisem, w którym rozwija tę tezę. Mistrzostwo słowa, głębia analizy naukowej i siła uczucia czynią z tego fragmentu pracy ustęp o niezrównanej wartości kulturowej. Cytuję jedno ze zdań: „Dyscyplinie zewnętrznego zachowania się, opartej na autorytatywnym przepisie, przeciwstawili wyznawcy herezji bujność samorzutnego życia wewnętrznego, pełnego entuzjazmów i zapatrzeń tak szerokiego i potężnego, że czyni serce zdolnem nietylko objąć świat cały, ale przeobrazić go wewnątrz siebie na ogród rajski, w którym dusze, jak ewangeliczne lilje polne wystrzelają ku Bogu, ofiarowując Mu całą tę piękność swą, o której same nie wiedzą“.

Socjologja Czarnowskiego uczy nas widzieć i doceniać tych, co nie mogąc znaleźć miejsca dla siebie w ramach hierarchji, wychodzą poza margines społeczny; margines, który jest zawsze tem większy, im bardziej zwartą, zacieśnioną jest w danym okresie hierarchja społeczeństwa; margines, którego rozmiary są uzależnione od stopnia opanowania środków produkcji przez zamkniętą organizację producentów; margines, bez którego jednakowoż życie społeczne wydaje się nie do pomyślenia.

Użyłem wyrażenia „system socjologiczny Czarnowskiego“. Nie w znaczeniu jakiegoś systemu filozoficznego, przed którym ten, jedyny w Polsce przedstawiciel socjologji pozytywnej, zawsze się bronił. Jest to raczej szereg podstawowych i wzajemnie się dopełniających założeń metodologicznych, które służyły Mu jako wytyczne przy badaniu konkretnych przejawów życia społecznego. Składają się te założenia na obraz całości, którą nazwałbym „socjologją Czarnowskiego“. Ktoś ode mnie godniejszy wyłoży ją szczegółowo w artykule wstępnym do przygotowanego przez „Instytut Socjologiczny“ tomu Jego pism. Nagła, tragiczna śmierć nie pozwoliła Mu wykończyć przygotowanej od czasu wykładów paryskich pracy o „przestrzeni“, która miała być podstawą i ukoronowaniem tej socjologji. Pozostały tylko fragmenty i notatki. Pozostał francuski rękopis przygotowanego na międzynarodowy zjazd bałtycki w Rydze studjum o „Argonautach“, który jest próbą, jakże po mistrzowsku wykonaną i jakże udaną, wyzyskania metody socjologicznej do nowej, oryginalnej interpretacji starego mitu o Argonautach. Chodzi o zagadnienie z pogranicza socjologji literatury i poznania. Czarnowski pokazuje nam, jak wątek literacki mitu splata się z pozytywną, przez obserwacje kontrolowaną, wiedzą o danych krajach i wyjaśnia rolę, jaką ten wątek pełni w kształtowaniu się pojęć geograficznych. „Obserwujemy tu interesujące zjawisko wzajemnej adaptacji — pisze na wstępie — wiadomości ścisłe mieszają się z bajką, przekazaną przez tradycję, tworząc z nią nierozdzielną całość. Wzbogacają ją i niejednokrotnie są przytaczane jako dowód jej prawdziwości. Z drugiej strony bajka zatraca swój charakter, aż powoli staje się ornamentem rzeczywistości, formą estetyczną jej przedstawienia, czyniąc ją łatwiejszą do przyjęcia przez publiczność... i tem bardziej przekonywającą, im bardziej była przystosowana do legendy mitu“. Analiza społecznej funkcji mitu, bajki, wątka powieściowego, to ulubiony temat Profesora. Szereg prac temu poświęcił, wiele wykładów uniwersyteckich i ćwiczeń na prowadzonych przez siebie seminarjach. Tu natomiast, jak wskazuje podtytuł studjum „Konwencja i rzeczywistość w kształtowaniu się greckich pojęć geograficznych“, nacisk został położony na ustalenie społecznych warunków tworzenia się pojęć naukowych o krajach, które, jak się okazuje, o tyle tylko mogą znaleźć swoje miejsce w systemie naukowym, o ile mieszczą się w konwencjonalnych wyobrażeniach o świecie ludzi danego okresu.

Ten olśniewający wniosek otwiera przed czytelnikiem nowe, nieznane mu horyzonty. Jesteśmy na wyżynach myśli socjologicznej, docieramy do samego szczytu ludzkiego poznania, dekonspirując jego konwencjonalny charakter, jego społeczne uwarunkowanie. Czy dotyczy to tylko pojęć geograficznych, a więc związanych z kategorją przestrzeni, jak w studjum o „Argonautach“? A może pojęcia historyczne, związane z kategorją czasu, mają również charakter konwencjonalny?

„Jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni do przedstawiania sobie przeszłości jako łańcucha nieprzerwanego, którego ogniwa ułożone są w szereg nieodwracalny..., że nie wyobrażamy sobie, aby umysł ludzki, zwrócony ku faktom życia zbiorowego mógł inaczej ujmować ich powstawanie i przemijanie, niż jako kolejność pojawiania się w czasie“ — pisze Czarnowski w zachowanym fragmencie pracy o „historji“. Zatem „homo historicus“ jest również tylko konstrukcją myślową, której nic w rzeczywistości nie odpowiada, zaś myślenie historyczne, jako pojmowanie kolejności faktów w czasie, wcale nie jest przyrodzone człowiekowi. Zatem układanie historji, okazuje się, że nie jest wcale zjawiskiem powszechnem, nieodłącznem od „współżycia ludzi w związkach społecznych, dłużej niż oni trwających i samym faktem tego trwania ugruntowane dostatecznie“. Czarnowski, ten najwybitniejszy na wschód od Francji przedstawiciel francuskiej szkoły socjologicznej, ten świetny kontynuator klasycznych tradycyj socjologji Durkheima, usiłuje tu wyjaśnić tajemnicę wyobrażeń zbiorowych, rozłożyć je na najprostsze elementy i ustalić społeczny charakter tych elementów. Tem samem pozbawić ich metafizycznych cech, które w systemie Jego pozytywnej socjologji zmieścić się nie mogą.

Z kart rękopisów Profesora, pisanych przed śmiercią i jeszcze nie opublikowanych, tchnie głębia analizy, właściwa umysłom genjalnym. Jakgdyby czytało się fragmenty pism Saint-Simona, Comte'a czy Durkheima, słowem tych, którzy torowali drogę młodej dyscyplinie naukowej. Może, gdyby Czarnowski żył w bardziej twórczej pracy naukowej sprzyjających warunkach społecznych, może udałoby Mu się wznieść socjologję na wymarzone przez Niego wyżyny wiedzy ścisłej; może, ta myśl wraca uporczywie, stałby się oczekiwanym Newtonem socjologji. Ale lepiej tę myśl odpędzić, albowiem ból i rozpacz po śmierci ukochanego Profesora i tak jest bez granic.

Artur Bardach

HALINA KRAHELSKA

Wspomnienia o Czarnowskim

Wspomnienia moje o profesorze Czarnowskim datują się odniedawna i mają zasiąg dość ograniczony. W latach 1933—4 bywałam na zebraniach dyskusyjnych w Kole Socjologji Pozytywnej, które prowadził w uniwersytecie prof. Czarnowski, później zaś — w roku 1937 — uczestniczyłam wraz z profesorem w zarządzie towarzystwa wydawniczego „Nowa Bibljoteka Społeczna“. Te dwa różne tereny, na których mogłam obserwować profesora, udostępniały zapoznanie się z rozmaitemi cechami jego osobowości, psychiki i charakteru; nie wątpię, że będą o tem pisali jego uczniowie, koledzy, ludzie, których kontakt ze zmarłym był bliższy i bardziej stały.

W krótkiem wspomnieniu pragnęłabym utrwalić w pamięci ludzkiej tylko niektóre cechy osobowości profesora Czarnowskiego. Na zebraniach Koła Socjologji Pozytywnej w okresie wspomnianym debatowało się, po wygłoszonych referatach, bardzo gorąco, stanowisko debatujących bywało zazwyczaj wybitnie społeczne, bardzo często bojowe wobec zagadnień życia zbiorowego, poruszanych w odczytach, niezależnie czy były to tematy gospodarcze, społeczne czy kulturalne. Prelegent równie jak uczestnicy dyskusji niejednokrotnie bywali bardzo ostro atakowani. Profesor Czarnowski, obecny na każdem zebraniu Koła, prawie zawsze zabierał głos w dyskusji, czasem po wysłuchaniu ostrej krytyki swego stanowiska. Z prawdziwą satysfakcją można było patrzeć na tego uczonego wielkiej miary, człowieka ogromnej i rozległej wiedzy, jak z niezrównaną prostotą, dobrocią i — użyję tu tego wyrazu — wielkością ducha umiał przechodzić ponad niewłaściwościami formy przemówień, jak potrafił z mętnego czasem i płytkiego biegu myśli swego przeciwnika wyłowić, ba, wyczarować wprost wartką myśl, wyraźny kierunek, zarys jakiejś syntezy. Obserwując profesora Czarnowskiego na tych zebraniach, wśród młodzieży, myślało się przedewszystkiem o tem, że jest to istotnie **pedagog o rzadkim darze wychowawczym**; ponieważ znam cokolwiek świat profesorski na wyższych uczelniach, muszę stwierdzić, że mało profesorów posiada ten dar w równym stopniu. Potem myślało się jeszcze o tem, że profesor Czarnowski był naprawdę, **dogłębi demokratą**: może to właśnie sprawiało, że tak naturalne, tak pełne prostoty było w nim **zrozumienie prawa każdego ludzkiego mózgu do własnych poszukiwań**, dociekań, własnego myślenia, choćby się nazewnątrz przedostawać umiały nieudolnie, niepokaźnie, bez elegancji, jaką daje duża dyscyplina naukowa. Wielki uczony, wielki pedagog i prawdziwy demokrata — to połączenie nie jest w dzisiejszym świecie profesorskim bardzo częste.

Od innej strony widziało się profesora Czarnowskiego na małych zebraniach, w ścisłym gronie osób zainteresowanych „Nową Bibljoteką Społeczną“. Prof. Czarnowski należał do jej założycieli. Uważał, że brak wydawnictwa, któreby dawało dzieła naukowo-popularne, związane z nurtem współczesnego życia zbiorowego, dzieła o poziomie możliwie wysokim, jednak dostępne dla przeciętnie inteligentnego czytelnika, jest dotkliwym brakiem w pracy dla polskiej kultury. Stąd wyrosły właśnie wydawnictwa „Nowej Bibljoteki Społecznej“.

Na zebrania nasze prof. Czarnowski przychodził często po żmudnych i długich zebraniach innej natury lub też od swojej naukowej pracy. Na jesieni roku 1937 zdarzało się, że przychodził do nas po bardzo burzliwych i męczących zebraniach w uniwersytecie. Można było podziwiać inną właściwość tego niepospolitego człowieka: niebywałą **żywość Jego umysłu i tę piękną Jego odrębność**, że myśl pobudzona pokonywała natychmiast fizyczne zmęczenie, czasem przygnębienie, zniechęcenie, wynikłe z zetknięcia z absurdami naszego życia: nietylko umysł, inwencja, pamięć, działały natychmiast z imponującą sprawnością, ale równocześnie, pod władzą umysłu, ożywiała się i odzyskiwała znów całą sprawność cała jego osobowość. W oczach zapalały się przyjazne światełka, pojawiał się kombinowany — oczu i ust — uśmiech pełen zamyślonej finezji, z niezmordowaną energią rozwijał przed nami profesor Czarnowski piękny plan działalności wydawniczej, służącej wyłącznie celom kultury polskiej i ludzkiej. Ta cecha dynamiki, **ożywiania się od strony mózgu**, nie zaś — żołądka, pozatem brak cech bodaj intelektualnego przewodzenia, ambicji, łatwego wynoszenia się, to wszystko było w profesorze Czarnowskim bardzo urocze, niesłychanie cenne, w warunkach rzeczywistości naszej, bez względu na środowisko — rzadko spotykane.

SYDONJA AMARANT

W CIENIU SŁONECZNEGO ZEGARA

Elektryczna kolejka pomknęła dalej. Wedle instrukcji należało teraz minąć budynek stacyjny z napisem Miedzeszyn, zboczyć na lewo, przejść wąską dróżką polną, aż do końca płotu, okalającego park sosnowy i... Gdzie jest sanatorjum im. Medema? — Do Medema?... Trzeba iść koło tej willi „w sosnach“ prosto przed siebie. Można łatwo poznać — taki duży, biały, murowany dom... wskazujący palec zgubił się gdzieś w horyzoncie. Szło się więc prosto przed siebie. Po drodze były sosny i piachy, piachy i sosny — ozon — zatrzymały się na chwilę myśli, piasek przydrożny wciągał tymczasem chłonnie podeszwy i zdawał się przenikać skórę pantofli. Duży biały, murowany dom za sosnami, u wejścia napis w języku polskim i żydowskim: Sanatorjum dla dzieci im. Włodzimierza Medema. (Zakład leczniczo-wychowawczy (praeventorium) przy „Zjednoczeniu Szkół Żydowskich“ w Polsce. Stworzony przez BUND celem ratowania zagrożonych gruźlicą dzieci żydowskich szkół ludowych, przejął ducha i zasady wychowawcze żydowskiego szkolnictwa świeckiego).

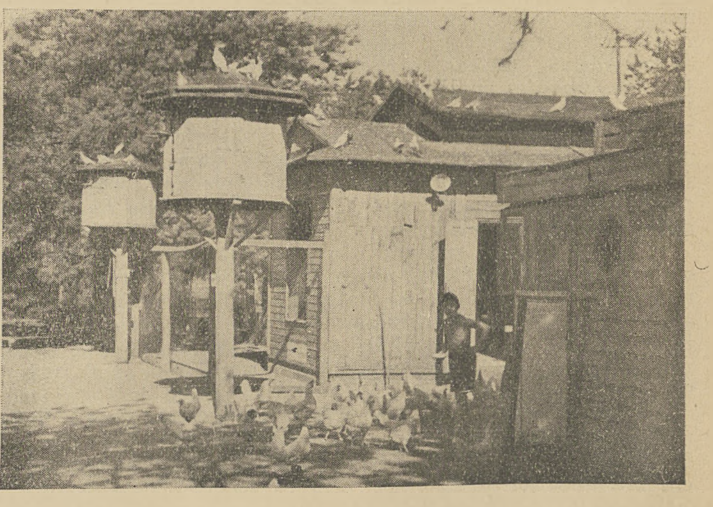
Czas wskazywał ósmą zrana, przestrzeń — długą, prostą drogę. Niedoświadczone kroki zboczyły z „Alei Głównej“ i skierowały się po linji najmniejszego oporu za dobiegające-



Czystość, zieleń i słońce. Niema brudu, nędzy i okropności izdebki z kilkunastu lokatorami. Jest radość i szczęście.

mi z daleka strzępami czyichś rozmów. Ruszyły naprzełaj. Zgubiły się w labiryncie PLACU MEDEMA... ALEI PRZYJAŹNI... PLACU DOBREGO APETYTU... ALEI MICHALEWICZA... PLACU ZABAW... PLACU WOLNOŚCI... ALEI „CIAP“..., aby zatrzymać się niezdecydowanie i wstydliwie u wylotu tej samej Alei Głównej, ciągnącej się prosto od bramy wejściowej do budynku jadalni. To chyba tu.

Przy wejściu do jadalni stoi dyżurny z „komisji mycia rąk“ i sprawdza czystość rąk każdego wchodzącego. Wyciągamy ręce. Patrzy nieufnie, krytycznie, wreszcie skinął głową. Wolno nam wejść. W jadalni pełno dzieci. Tłok, ruch, gwar. Kręcą się, rozprawiają, zaglądają do dzbanków, cisną się koło patefonu, śmieją się, zawierają przyjaźnie, przytaczają ostatnie szczegóły jakiejś ważnej, niedokończonej na schodach rozmowy, wskazują miejsca „czołdakom“.[1]) Drzwi się nie zamykają. Wchodzą ciągle nowi. **Hawerszaft! Hawerszaft! Hawerszaft!**[2]) — witają się. Nagle dzieci i dorośli milkną. Wychowawca podniósł wgórę rękę — znak zachowania spokoju. Następuje inauguracja dnia dziecięcego kolektywu, minuta ciszy, dla starszych dzieci — chwila skupienia się



Gołębie i kury. Dzieci żyją z niemi w najlepszej zgodzie.

i powagi. Namiastka porannej modlitwy. Twarzyczki nad stołami wyrażają różnorodne uczucia: powagę, zniecierpliwienie, apatję, skupienie, nudę, nadęte poczucie ważności sprawy — przynależności do grupy milczącej gromady, jakaś dziewczynka nie dokończyła widać opowiadania, bo stoi, jak jej przerwano, zwrócona do swojej towarzyszki i nie może doczekać się końca przymusowego milczenia; jakiś osamotniony czołdak wodzi palcem po kwadratach lśniącej ceraty i dziwi się, drugi trzyma w pogotowiu łyżkę. Kiedy będzie „już“?

Szurganie nóg. Dzieci zajęły miejsca. Młodociany redaktor „Naszego Radja“ odczytuje swoje codzienne sprawozdanie. Treść numeru otwiera komunikat stacji meteorologicznej, poczem następują wiadomości z ubiegłego dnia oraz nowiny z ogólnej prasy. Dalej idą doniesienia i komunikaty poszczególnych organów samorządu. Na zakończenie płyta gramofonowa.

Śniadanie.

Było dużo jedzenia. Smaczne. Wychowawcy śmieli się i rozmawiali z dziećmi. Wszyscy gadali o jakichś ważnych, pilnych, wiadomych sprawach. Przysuwano sobie nawzajem koszyki pełne chleba z „czemś“ i dolewano z dzbanków dymiącej herbaty z mlekiem. Dyżurna roznosiła talerze i pilnowała, czy każdy nalewa pełną chochlę.

Mówiło się o tem, że właśnie wczoraj były wybory do Rady Dzieci, ustanawiającej dyżurnych i komisje dla poszczególnych spraw i funkcyj, bo w Zakładzie istnieje szeroko rozgałęziony dziecięcy samorząd, do którego kompetencyj należą wszystkie sprawy związane z życiem dzieci w zakładzie; że dzieci wykazują dużo inicjatywy i zainteresowania dla wszystkiego, co pozostaje w jakimkolwiek związku z ich pobytem w Sanatorjum.

---

[1]) Czołdak — nowoprzybyły, nieobeznany jeszcze z życiem Zakładu.

[2]) Hawerszaft — braterstwo.

Mówiło się o tem, że po śniadaniu, w czasie przedobiedniego werandowania odbędzie się Ogólne Zgromadzenie, zbierające się raz na tydzień i że prezesem Rady Dzieci została wybrana Esterka, i jak sobie da radę. Jakiś pensjonarjusz wytłumaczył mi, że Rada Dzieci składa na Ogólnem Zgromadzeniu sprawozdanie z dokonanej w samorządzie pracy za okres ubiegłego tygodnia. Dzieci zgłaszają nowe wnioski, wypowiadają się o pracach poszczególnych komisyj i usterkach, które ujemnie odbiły się na życiu Zakładu, wskazują sposoby ich usunięcia. Krytykują jednych, chwalą lub usprawiedliwiają drugich, ale dzisiaj Esterka-prezes poda tylko do wiadomości ogółu, skład wybranych na wczorajszej Radzie Dzieci, dyżurnych i powzięte rezolucje.

Mówiło się dalej, że chłopcy tylko „kręcą się“ koło gołębnika, że „mamy zegar słoneczny“, że jutro przypada Dzień Dzieci, podczas którego zarząd Sanatorjum przechodzi w ręce dzieci, i co sobie wobec tego życzą na obiad, i dokąd pójdą, i jaki program ułożą... i że z niektóremi dziećmi, zwłaszcza z nowoprzybyłemi i to w pierwszych kilku dniach ich pobytu w Sanatorjum, ma się dużo kłopotu o „zjedzenie wszystkiego“, bo „zostawić“ można tylko za zezwoleniem wychowawcy lub lekarza, mówiło się, że ma przyjechać dzisiaj z Warszawy pan lekarz od zębów, którego dzieci bardzo lubią, że każdy chce być jego asystentem, że w ambulatorjum pachnie apteką i że się teraz już nie boją plombowania zębów, bo prawie „nic a nic“, albo „mało co“ boli, że...

Wszyscy mówili, żartowali. Było wesoło. Chleb znikał z koszyków.



Kto z was cieszył się codziennie królikami? Można je wziąć do ręki, można gładzić puszystą, łagodną sierść, można otoczyć opieką i pokochać.

Mały mieszkaniec Krochmalnej, dla którego doniedawna pojęcie natury i przyrody kojarzyło się tylko z klatkami gołębi na Kercelaku, nasypał sobie miałkiego cukru na dłoń i karmił spokojnie zabłąkaną z ogrodu, jesiennie ociężałą pszczołę. Na miód dla dzieci z własnych uli.

Po śniadaniu Esterka-prezes była zajęta; musiała stwierdzić z dyżurnymi i wychowawcą porządek w sypialniach, w przegródkach na proszek i szczoteczki do zębów, w OO, na korytarzach. Notowała skrzętnie. Komisja kiwała głowami.

Poszliśmy gromadą oczywiście wprost do gołębnika. Wybrano wczoraj trzech nowych dyżurnych na cały miesiąc. Praca koło gołębi jest chyba najprzyjemniejsza ze wszystkich. Potem do białych kurcząt. „Kłębi się tooo — mówi Berek z Czerniakowskiej — jak kostki cukru we worku“ Kury są białe i jest ich bardzo dużo. Zakład, tłumaczy mi z dumą jeden z ostatnich dyżurnych (ma jednak nadzieję, że wybiorą go powtórnie, bo zostaje jeszcze miesiąc i trzy dni), dąży do samowystarczalności; im więcej kur, tem więcej jaj. Na przyszły rok, albo najwyżej za pięć, Zakład pokryje całe zapotrzebowanie na jaja z własnego kurnika... Proszę pani, proszę pani, ja pokażę inkubator, ja! — pokazują szufladki, tłumaczą i muszę z wierzchu, bo do środka bez wychowawcy zaglądać nie wolno, podziwiać dwie sztuczne wylęgarnie, jedną starszą, drugą najnowszego systemu.



Jedna z członkiń „komisji krawieckiej“ naprawia szybko i zgrabnie zniszczone części ubrania.

Tam są ule. Narazie tylko trzy. Zakład musi dokupować jeszcze 200—300 kg miodu i dokarmiać sztucznie pszczoły, ale kiedyś będzie więcej uli. To takie strasznie ciekawe przypatrywać się, jak pracują pszczoły.

Trzeba przejść przez Aleję Michalewicza i Plac Medema. Tu jest zegar słoneczny, a tu stacja meteorologiczna, a tu nasze muzeum przyrodnicze i pracownia biologiczna. Wzdłuż ścian umieszczone są gablotki z eksponatami i okazami preparowanemi bądź przez dzieci pod kierownictwem wychowawcy, bądź przez kierownika pracowni, zawsze jednak w obecności pensjonarjuszy. Tu, jak i w ogrodzie, oswajają się dzieci z otaczającym je światem zwierzęcym i roślinnym, poznają jego tajniki i w ten sposób pośrednio rozwijają swoją spostrzegawczość. Nie wolno pominąć basenu z przedziałami na rośliny wodne. Szkoda tylko, że to już jesień, bo w lecie jest całkiem inaczej... „Czy pani wyznaje się na zegar słoneczny?“.

Gromada oprowadzających mnie gospodarzy zwolna maleje. Jest pora przedobiedniego leżakowania. Zostaję z nikłą garstką maruderów. Mijamy plac zabaw z przyrządami gimnastycznemi, kącik dla najmłodszych z wielką piaskownią, szereg kranów z bieżącą wodą, gdyż w porze letniej dzieci przebywając prawie przez cały dzień na wolnem powietrzu, myją tutaj ręce przed posiłkami. Idziemy przed siebie... „Czy pani wyznaje się na barometr? — a na zegar słoneczny?“ — ponawia pytanie badawczy głosik sumiennego przyrodnika. Niema rady. W cieniu słonecznego zegara ponoszę sromotną porażkę. Nie zdałam egzaminu. Godziny mijają dla mnie goniącemi się wzajem wskazówkami mechanicznej sprawności ludzkiej kultury.

Z wychowawcą już zwiedzam bibliotekę, czytelnię, spółdzielnię dzieci, która jest jednocześnie kasą depozytową i kredytową i prowadzona jest ściśle według wzorów instytucyj tego rodzaju dla dorosłych. Dziecko składa w kasie swój kapitał (w ramach 20 gr. do 2 zł.) otrzymuje własne konto i jak długo wykazuje ono aktywa właściciela, może kupować wszystko, co znajduje się na składzie w spółdzielni — ołówki, sznurki, tasiemki, znaczki pocztowe, fotografje Sanatorjum.

Zapoznaję się z „komisją dla przechowywania łakoci“ i z treścią „Dziesięciorga Przykazań“ w pokoju klubowym:

Rada Dziecięca Wita Nowoprzybyłe Dzieci.

WITAMY CIĘ NOWOPRZYBYŁY KOLEGO!

1. Jesteś teraz w Sanatorjum im. Medema. Wszyscy tu są kolegami. Sanatorjum powstało dzięki staraniom robotników żydowskich i poświęcone jest pamięci WŁODZIMIERZA MEDEMA, wielkiego wodza robotników, twórcy żydowskiej szkoły ludowej.
2. Postaraj się poznać wszystko, co Cię tu otacza. Dowiedz się, jak się spędza dzień w Sanatorjum.
3. Przyjrzyj się, jak czysto jest u nas w każdym kącie, postaraj się i ty upilnować i uszanować porządek i czystość.
4. Dowiedz się, gdzie i jak przechowujemy rzeczy nasze: ubranie, bieliznę, obuwie, książki, zeszyty, ołówki i t. p.
5. W jadalni, pamiętaj, jedz jak **najwięcej — mów jak najmniej.**
6. Mamy tutaj własny samorząd dziecięcy. Poproś którego z twoich nowych kolegów, żeby Cię zapoznał z pracą naszego samorządu i Rady Dziecięcej.
7. Zostań członkiem spółdzielni.
8. Zapisz się do bibljoteki, a będziesz otrzymywał książki do czytania.
9. Teraz jesteś naszym kolegą narówni ze wszystkimi. Powierzą Ci jakąś pracę, wykonaj ją dokładnie, z oddaniem i miłością dla naszego Sanatorjum.
10. Witamy Cię!

RADA DZIECIĘCA

...Mówimy o częstej fluktuacji dzieci w Sanatorjum (pobyt wynosi przeciętnie od 1—6 miesięcy) i że to utrudnia w dużej mierze wpojenie i utrwalenie w życiu młodocianego ducha, jaki panuje w Sanatorjum — ducha świeckości, zamiłowania do pracy i przywiązania do zasad wolności i sprawiedliwości społecznej. Obok pielęgnowania indywidualnych cech i samodzielności dziecka, stara się w niem budzić zrozumienie dla spraw i dobra ogółu. Zasady kolektywizmu są podstawą samorządu i życia wewnętrznego Zakładu.

Na werandzie odbywa się Ogólne Zgromadzenie. Esterka-prezes odczytuje wynik lustracji korytarzy, OO, przegródek na proszek i szczoteczki do zębów, sypialń... „A czyje łóżko było najładniej zasłane?“ — dopytuje się spod grubego koca czyjś natarczywie ciekawy głos; okazuje się, że to właśnie jego. Esterka rozdziela dyżury. Dwie pary oczu wpatrują się wzajemnie. Znalazły się i zwarły na chwilę porozumiewawczo. Strzegą wspólnie własnej, niezmiernie doniosłej tajemnicy: zegara słonecznego.

Esterka podniosła wgórę dłoń. Chwilowa cisza, a potem zadrgała dziecięcą wiarą, radosna, zwycięska pieśń:

Niech ognie zapłoną na stokach gór,
Niech miasta napełni radosny chór.
Idziemy jak burza, co nie zna tam,
Nie stajem zmęczeni u żadnej z bram.
Idziemy ku Wam!
Idziemy ku Wam!

Choć w oczach naszych czai się głód,
A w sercach stęsknionych za szczęściem jest mrok,
Idziemy wciąż naprzód, nie stajem u wrót —
Pewny i śmiały, młodzieńczy nasz krok.
Idziemy ku Wam!
Idziemy ku Wam!

Skąpani w słońcu, rozradowani,
Idziemy, wiarę niosąc wam w dani.
Iskry nam lecą pod nogami.
Hej! Kto młody, niech idzie z nami.
Idziemy ku Wam!
Idziemy ku Wam!

Niech ognie zapłoną na stokach gór,
Niech miasta napełni radosny chór.
Idziemy jak burza, co nie zna tam,
Nie stajem zmęczeni u żadnej z bram.
Idziemy ku Wam!
Idziemy ku Wam!*)

*

Kroki tym razem nie zmyliły drogi. Ruszyły prosto przed siebie Aleją Główną do bramy wejściowej. Minęły Aleję Ciap i liściasty łuk Alei Przyjaźni, zostawiły daleko za sobą rozległy Plac Wolności. Człapały opornie w piasku w kierunku stacji kolejowej, węzła łącznikowego z rzeczywistym światem i własnem szarem życiem bez piasków, bez ozonu, bez sosen, bez łuku przyjaźni i bez zegara słonecznego.

Sydonja Amarant

*) „Mir Kumen On“ — słowa: Nochun I., muzyka: J. Troupiański, tłum. Zygmunt Schorr.



Szczęśliwy śmiech i radość życia — zabierają dzieci z sobą, opuszczając Sanatorjum im. Medema.

IGNACY FIK

Awangarda i awangardziści

Awangarda znaczy tyle co straż przednia. Takie pojęcie treści słowa obowiązuje do pewnych konsekwencyj. Straż przednia wysłana zostaje przez dowództwo, otrzymuje od niego pewne dyrektywy, w akcji działa na rzecz swej armji głównej. Dokonania awangardy wartościowane być mogą jedynie z perspektywy interesów jej pełnomocników. Awangarda musi być w kontakcie z siłami naczelnemi, wzdłuż ich idei regulować swą pionierską działalność. Zerwanie połączenia odbiera sens jej pracy. Straż przednia musi widzieć naprzód, ale nie dla siebie. Z natury jej wynika pewne wskazanie etyczne: awangarda zobowiązana jest do dokonywania odkryć. Przedzierać się przez najbardziej zarosłe gęstwiny, wyzyskiwać każdy pomysł. Wartościowe są nawet doświadczenia negatywne. Awangarda szuka, błądzi, eksperymentuje — ale jako zwycięstwo liczy rzeczy trafne i pożyteczne. Straż przednia całkowicie usamodzielniona staje się oddziałem partyzanckim. Jedyny jej sukces wtedy — to piękna przygoda, awantura.

Gdy mowa o awangardzie w literaturze, pożyteczna ta analogja utrzymana być może oczywiście z pewnemi zastrzeżeniami. Przedewszystkiem obowiązuje inne rozplanowanie pojęć w czasie. Przy armji wojskowej następstwo awangardy i siły głównej jest terenowe. Mierzy się je kilometrami. W literaturze miarą są okresy czasu czy pokolenia. Dla takiej awangardy armja istnieje tylko jako postulat. Tak działać jest o wiele trudniej. Zdobycze awangardy oceniane też z tego powodu być mogą a posteriori. To znaczy, gdy ta potencjonalna armja naprawdę zaistnieje. W ramach jej wyroku układa się zwycięstwo lub klęska awangardy. Mimo to lub może właśnie z tego powodu jesteśmy upoważnieni w sprawie każdej awangardy zapytać, zwłaszcza gdy sama tak siebie nazywa, — jest awangardą, ale czego?

Odpowiedź dla wielu może być kłopotliwa, ale niektórzy potrafią odpowiedzieć zdecydowanie. Dla autonomistów sztuki, dla ideologów klas społecznych, dla psychologów sprawa nie przedstawia szczególnych trudności. Ale odpowiedź za każdym razem będzie inna. Miernikiem w pierwszym wypadku będą zdobycze w zakresie nowych środków ekspresji, w drugim — współudział w walce klasowej, w trzecim — rewelowanie irracjonalnych pokładów duszy ludzkiej. Tak też mniej więcej pojmują swą rolę awangardziści. Jedni prawo do tej zaszczytnej nazwy uzurpują sobie z racji swej wynalazczości formalnej, drudzy czują się bojownikami o postęp społeczny, inni wreszcie każą się cenić za swą robotę w podświadomości. W każdym z tych wypadków akcentowany jest inny nakaz etyczny: raz — nowość, eksperyment, raz — odwaga, bojowość, raz — szczerość, autentyzm. W każdym tym wypadku nazwa awangardy istotnie ma swe uzasadnienie. Samo zaś rozróżnienie typów awangardy: artystycznej, społecznej i psychologicznej, jest pożyteczne. Bez niego nie sposób przeprowadzić jakiej takiej dyskusji, nie sposób klasyfikować i osądzić zjawiska na terenie literatury. Samo wyróżnienie powyższych ujęć nie jest zresztą przypadkowe, wynika z potrójnej roli literatury, która ukazuje nas samych, orjentuje nas w świecie i dostarcza przeżyć estetycznych.

Istnieje ciche przekonanie, że w prawdziwej awangardzie mimowoli współistnieją wszystkie te trzy momenty. Że są one nierozerwalne i nawzajem się nietylko warunkują, ale nawet determinują. Ze stanowiska teoretyków każdy z tych elementów uważany jest za podstawowy. Tak n. p. istnieje przekonanie, że pisanie wierszy o proletarjacie pociąga za sobą jako wniosek stosowanie najnowszych chwytów poetyckich. Z drugiej strony Promiński jest zdania, że dopiero metody psychoanalityczne otwierają drogę awangardyzmowi w innych zakresach. Wreszcie przedstawiciel trzeciego stanowiska Brzękowski w „Poezji integralnej“ twierdzi: „Nowa forma poetycka jest prekursorem nowych wartości społecznych. Nowe próby łączenia, nowe elementy budowy poetyckiej są odpowiednikami nowej budowy społecznej. Poezja wcześniej realizuje, niż życie, i w tem tkwią olbrzymie społeczne, klasowe i rewolucyjne wartości poezji“. W rzeczywistości współzależność tych trzech momentów istnieje niezaprzeczalnie, ale nie znaczy to, że są one wprostproporcjonalne do siebie i jednokierunkowe. To jest bardzo wielka różnica! Praktyka wskazuje, że zupełnie dobrze mogą istnieć bardzo śmiałe i pożyteczne wiersze rewolucyjne o passeistycznej formie literackiej, że można operować całym arsenałem najwspółcześniejszych chwytów i nie wyrażać nic lub najwsteczniejsze banały, że wreszcie można być całkowitym reakcjonistą społecznym i epigonem literackim, a odznaczać się wielką zuchwałością w ujawnianiu intymności fizjologiczno-psychicznych. Niezdawanie sobie sprawy z tego prowadzi do wielu nieraz groteskowych nieporozumień, z drugiej strony stwarza cały szereg mitów, którym ulegają sami twórcy. Dość powołać się na przykłady ostatnich lat: Zegadłowicza, Bąka, Karpińskiego, Łobodowskiego. Pisarzy o strukturze psychosocjalnej całkowicie anachronistycznej użyto za manifestację naszej współczesności.

To niepokojące w pewnym sensie zjawisko powinno nas zastanowić. Musi być gdzieś błąd w uzasadnieniu koncepcji awangardy. Wymienione koncepcje widocznie nie są pełne. Siły, którym te awangardy mają służyć, nie są samodzielnemi czynnikami. I one muszą być podporządkowane planowi ogólniejszej idei, w której uczestniczą jako fragmenty szerszej tyraljery. Jeśli tak, to cóż stanowić musi centralną dominantę wszystkich dokonań, eksperymentów i ocen, czynnik korelacji i koordynacji? Odpowiedź może być jedna: człowiek, pewna koncepcja czowieka. Dodajmy odrazu: nowa moralność człowieka.

Tendencje awangardowe nie rodzą się zawsze, w każdym razie nie zawsze są równie silnie pożądane i cenione. Ujawniają się one w epokach ogólnego kryzysu społeczno-kulturalnego. Są wyrazem załamania się obowiązujących wartości, ich całkowitej niewystarczalności czy bezużyteczności. Awangardy potrzebne są w czasie walki o nowe terytorja. W czasie pokoju stają się co najwyżej czujkami, rejestrującemi ruchy na przedpolu. Ujawniają zmiany, ale asymilują je, nie czyniąc z nich bynajmniej osi nowej krystalizacji czy przebudowy. Ale i w czasie wojny, choć są wytworem chaosu, nie są powołane przez życie, by ten chaos przedłużały. W pewnej chwili związać się muszą z ustalającym się prądem rzeczywistości, jako jego część składowa.

Z powyższego wynika, że funkcja awangardy ulega pewnej ewolucji i ograniczona jest pewnym czasem. Początkowa względna samodzielność, partyzantka i ryzykanctwo podlegać muszą procesowi dyscypliny i ujednolicenia. Różne odnogi wywiadu muszą spłynąć w jednokierunkowy prąd. Polimorficzność indywidualnych prób powinna się stabilizować w wyraźny kształt życia epoki. Prawdziwa awangarda jest związana z ruchami społecznemi i to jest jej determinacja socjalna. Nowa sytuacja społeczna prowokuje nową organizację reakcyj ludzkich i to jest źródło rewelacyj psychologicznych. Nowe wreszcie treści wymagają nowych niefałszujących środków wypowiedzi i tu rodzi się pole do wynalazczości w zakresie ekspresji artystycznej. To jest naturalny rodowód i przeznaczenie awangardy. Permanentna awangardowość, jako pogoń za niezmordowanym ekscentryz-

mem, staje się wyrazem zbuntowanej dywersji. Wieczny rewolucjonista — staje się uciążliwym i zbędnym anarchistą. Awangardzista na ustroniu — jest włóczęgą i awanturnikiem.

Jeszcze jeden aspekt trzeba rozważyć, gdy mowa o wyrazie społecznym awangardy. Uczestnictwo awangardy w walce o nową rzeczywistość społeczną nie oznacza, że n. p. w obecnej chwili awangardzistami są jedynie poeci proletarjaccy, z tej racji, że proletarjatowi przypisuje się rolę budowniczego nowej kultury. Owszem, jak proletarjat sam przez się nie jest czynnikiem postępu, staje się nim przez swą określoną ideologję i wolę jej realizowania, tak samo poeta proletarjacki może reprezentować różne stopnie jego świadomości i postępu. Z drugiej strony pewne odłamy mieszczaństwa, mające wyczucie sytuacji społecznej i umiejące się do niej przystosować, posiadają w odniesieniu do swej klasy również warunki stworzenia awangardy. Toteż w okresie zaostrzonych walk klasowych i światopoglądowych możemy mówić o dwu społecznych awangardach. Upodobniać je będzie pewna wspólna nowoczesność formalna, fachowe obznajomienie się z teraźniejszością, posiadanie najnowszych metod analizy i ekspresji, przy zasadniczo odmiennej zawartości ideologicznej. Bowiem zasób metod i środków działania nie jest wyrazem określonej kultury, ale zjawiskiem cywilizacji i jako taki nie ma z swej istoty odpowiedniego, określonego charakteru klasowego. Otrzymuje go dopiero przez odpowiednie przyporządkowanie, podobnie jak nie jest klasowy pociąg czy karabin. Narzędzia cywilizacji, jakkolwiek powstają w okresie pewnej kultury klasowej, stają się faktami neutralnemi i każdy może po nie sięgnąć. O kulturze bowiem decyduje charakter syntezy elementów, nie zaś samo ich istnienie. Zdobycze techniczne awangardy, freudyzm i „agitki", jakkolwiek genetycznie związane są z określoną epoką społeczną, są tylko zjawiskiem cywilizacyjnem, podobnie jak formy prymitywu ludowego lub pseudoklasycznej maniery. Awangardy te mają wspólną najwyższą w danem przecięciu cywilizację. To je łączy, ale równocześnie maskuje i myli. Toteż jeszcze raz dochodzimy do wniosku, że koncepcje ocen awangardy wyodrębnione na początku nie są ich ostatnią instancją wartościującą. Że odwołać się musimy jeszcze raz do idei bardziej nadrzędnych: do koncepcji człowieka. Wielka literatura zależy nie „od woli do wielkości" (jak chce Chmielowiec w artykule „Rozważania o poezji", „Sygnały", nr. 35) ani od zdolności do „stania się groźną i niebezpieczną przygodą duchową" (jak chce Kott w „Pyrrusowem zwycięstwie awangardy", „Sygnały", nr. 37.), lecz od zdolności wyobrażenia sobie nowego człowieka i od szczerości i woli w realizowaniu jego kształtu psychosocjalnego. Z chwilą jednak ukazania się konturów tej wizji, straże przednie przestają spełniać swą rolę. Rodzi się potrzeba innego heroizmu. Awangardą są nie szperacze i partyzanci, ale wodzowie. Decyduje wola i przekonanie.

A dawni wywiadowcy? Jeżeli umieją zrozumieć swój sens, cichną (jak rozumne jest milczenie poety Peipera czy Ważyka). Inni wiążą się ogólną dyscypliną. Ale są i tacy, którzy nie mogą się wyrzec swych przyzwyczajeń eksperymentatorskich. Stają się nałogowcami przygody dla samej przygody. Jeśli pracowali w psychoanalizie, gromadzić będą potworny materjał opisowy, z manjackim uporem rozkręcać każdą śróbkę organizmu duchowego człowieka, z zawziętą radością babrać się w najdziwaczniejszych anomaljach. Jeśli byli technikami poezji, z umiejętności swych chwytów będą robić żonglerskie popisy, narzędziom przypiszą atrybuty bożków, zechcą modelować nawet pustkę. Jeśli byli wreszcie społecznikami, będą dewaluować w nieskończoność najmocniejsze wyrazy w wrzaskliwych i trywjalnych okrzykach. Jednak ani pierwsi, ani drudzy, ani trzeci w dziejach i stylu epoki nie będą się liczyć. Poznamy ich po cynizmie lub smutku, jaki będzie towarzyszył ich imaginacyjnym orgjom.

Dziś okres awangardy się kończy, ale trudno mówić o jej klęsce czy zwycięstwie. Jest to historyczna likwidacja roli. Osądzać ją można i trzeba. Osądzać trojako: co wniosła, kto wniósł i dla kogo? Zdobycze awangardy będą zawsze ważne i nieodzowne, ale przestają być ważni i nieodzowni niektórzy awangardziści. Zwłaszcza ci, którzy sądzą, że gdzieś prowadzą, gdy kolują w dżungli. I ci, którzy kradną świecidełka i obwieszają się niemi. O tych można powiedzieć to, co o francuskiej awangardzie mówi D. Namur: „Nasza awangarda jest już ariergardą. Jest to zacna burżujka, dość sympatyczna zresztą, ale już pomarszczona. Zacina się w tem, aby nas izolować od problemów, które niepokoją naszą epokę, tkwi w indywidualizmie".

Dziś inaczej będziemy osądzać. Miarą stać się musi sam człowiek, jako model twórczości. Czy można ukazać jego perspektywy? Negatywnie — tak! Przestał nim być człowiek kultury liberalno-mieszczańskiej. Więc pozytywny kształt? Ten trzeba wywalczać! Wywieszono dwa sztandary: totalizmu i humanizmu społecznego.

Ignacy Fik

W czerwonej Hiszpanji

Ksawery Pruszyński. W czerwonej Hiszpanji. Warszawa, „Rój", 1937; str. 344 i 8 nl.

Przytłoczyłyby tę książkę codzienne sprawozdania z frontów Hiszpanji, opisy i oceny sytuacji zapirenejskiej, gdyby nie jeden niewątpliwie główny jej nurt: **wbrew geografji bliscy jesteśmy ogromnie ojczyźnie Don Kichota.** Pruszyński od mdłego zapachu krwi pierwszej „corridy" — prócz doraźnych spostrzeżeń i obserwacji uprawia skoki w historję Hiszpanji: szuka bez uprzedzeń źródeł i prażródeł ostatniego krwawienia „sierry" — to w prześwietleniach statycznego, antypostępowego katolicyzmu („wszystko, co było starą Hiszpanją, dawną Hiszpanją stało się kościołem w tym kraju"), to aż na dworze Izabelli i Ferdynanda, by dojść wkońcu do personalnego systemu rządów — feodalnego przywileju ostatniego króla i ostatniego feodała na tronie hiszpańskim, Alfonsa XIII-go i asfaltowych autostrad dyktatury Primo de Rivery. Ta historja społeczna, polityczna i gospodarcza Hiszpanji służy autorowi prawie zawsze za odskocznię do dziejów i spraw polskich. Jest to pełen reporterskiego kunsztu, nie nużący paralelizm historyczny, wykazujący pokrewieństwo obu krajów w rozwoju dziejowym, niemal wspólnotę infrahistorji. Bliskość dwóch marchij, odległych od centrów europejskich, żyjących dla uniwersalnej idei, wychodzącej z Rzymu — żyjących dla niej ciągle jeszcze wówczas, gdy Europa dawno nią żyć przestała — po gotyku i średniowieczu — nie stawiając sobie nowej, równie żywotnej.

Pruszyńskiemu nie wystarcza ten jeden nurt reportażu: w kilkumiesięcznej wędrówce po czerwonej Hiszpanji wyszukuje i sekcjonuje prawie wszystkie zagadnienia, obciążające swoim udziałem domową wojnę. Są to znów bilansy dziejowe: feodalizmu, którego duch najściślej złączył się w tym kraju z katolicyzmem, katolicyzmu, który nie zdołał znaleźć dla mas nowych, współczesnych celów, idei, która byłaby nową siłą dla ofiarniczego życia miljonów, hiszpańskiego marxizmu, rządów republiki — kiereńszczyzny. W wielkim, bezstronnym bilansie win przelicza jeszcze raz — by „nie zbłądzić", olbrzymie pozycje latyfundjów, ociężałych, żyjących na barkach chłopów, stroniących gnuśnie od rentownej kapitalizacji, kalkulacji i ryzyka przemysłu. Poprzez przepustki, cenzury, obostrzenia, poprzez zapobiegliwość propagandy stron walczących usiłuje dotrzeć do dna tragedji narodu hiszpańskiego. I zawsze, prawie co strona, bez dobierania i wyszukiwania, jawi mu się cień Polski; za każdym razem obcemu wszelkim, prócz czysto ludzkich, tendencjom autorowi przeszłość i teraźniejszość obu krajów zawęźlają się, zestawiają samorzutnie aż przygnębiająco — w wielkich przekrojach: od Pskowa i Kijowa po Gibraltar i Murcję, od pramroków przeszłości półwyspu iberyjskiego do polskich rozbiorów i polskiej służby dyplomatycznej roku 1936. Owo sondowanie dna rewolucji włącza reporter we wnikliwe opisy działań wojennych, to znów zamyka w oddzielnych rozdziałach. Długi pobyt na froncie, w opuszczonym, lecz broniącym się zaciekle Madrycie daje mu asumpt do szeregu refleksyj na temat współczesnej wojny, nie przemilcza kwestji „nieinterwencji" i pomocy państw obcych. Są to ryzykowniejsze partje książki, obarczone sugestją wysokocyfrowej śmierci, zmuszające do stąpania po grząskim gruncie aktualnej polityki. Autor ucieka zeń, szuka rewolucji istotnie potrzebnej temu krajowi: nawodnienia i uprzemysłowienia.

Kraj ustawicznie krwawiący, biedny i zacofany, spóźniony w rozwoju społecznym i gospodarczym jak Polska, choć górujący nad nią tem, że jego językiem mówią w Meksyku i Argentynie, całej Ameryce Południowej, a naszym ani w Mińsku, ani w Kijowie; kraj odartego ze skóry konia na wzgórzu, wbijanego na pal Azji Tuhaj-bejowicza. Pruszyński kończy literackością, zapożycza klasycznych okrucieństw, by **wyrazić** Hiszpanję lat 1936—37 i literackość jest ważkim elementem jego reportaży, jak często gości w nich El Greco, Chrystusy i Madonny muzeów hiszpańskich. Prawie wszystkie rewolucje świata kończyły się dodatnim wynikiem: ich ferment zdołano ustabilizować, pchnąć w łożysko pozytywnego wysiłku. W Hiszpanji krew „pronunciamentów", wojen domowych szła na marne. Jaki będzie urodzaj na ziemi użyźnianej jeszcze ciągle krwią rewolucji ostatniej?

Pruszyński kończy literackością: z „Lillą Weneda" idzie ku „Panu Wołodyjowskiemu", ku Małaczewskiemu, „który rozumiał rewolucję rosyjską" i któremu poświęca pracę.

Walorem bezsprzecznym tej książki jest wykazanie zbieżności stosunków społeczno-gospodarczych Polski i Hiszpanji, spokojna walka z kłamstwem o „czerwonej Hiszpanji", tem cenniejsza, że wyszła spod pióra człowieka, którego o sprzyjanie t. zw. „czerwonym" bynajmniej posądzać nie można. Podkreślić trzeba żarliwą, fanatyczną niemal troskę o człowieka i jego godność, troskę niepisaną, nieafiszowaną, lecz nurtującą z urzekającą siłą w tej książce, zganić zbytnie rozwichrzenie języka, nieuzasadnione forsowanie „accusativum tromtadratis", form na „ą" w bierniku odmiany żeńskiej, choć w mowie pospolicie używanych — to jednak chropowatych w języku literackim.

Andrzej Drozd

Katolicyzm społeczny

Bibljoteczka Akcji Katolickiej. Nr. 69. **Eugenjusz Myczka.** Swoistość struktury społecznej i ekonomicznej Polski oraz możliwość jej reformy. Poznań, 1937; str. 38 i 2 nl.

Jest to butna canossa polskiego katolicyzmu. Butna jest teza o wyłącznej możliwości przebudowy społeczno-gospodarczej Polski i jej kultury w myśl zasad społecznej nauki katolickiej, butne jest twierdzenie, że katolicy (nietyle jako obywatele państwa, ile członkowie kościoła), są **„przedewszystkiem"** odpowiedzialni za byt narodu polskiego, a zagadnienie katolicyzmu jest kluczowem zagadnieniem jego bytu i rozwoju; samą canossę tworzy szereg cennych „odkryć", dokonanych w nauce św. Tomasza, Leona XIII, encyklice „Quadragesimo anno": że posiadanie jest prywatne, a używanie bogactw ma być wspólne, przyczem rzeczy zewnętrznych nie powinien człowiek uważać za własne, że nadrzędność moralna narodu nad jednostką daje prawo do oddawania produkcji w ręce tylko tych ludzi, którzy zdołają utrzymać ją na poziomie potrzeb społecznych, że kapitał jako suma pracy społecznej, wykonanej w przeszłości i utrwalonej w materji i jako dzieło pracy zbiorowej winien być podstawą dochodu społecznego, a nie indywidualnego zysku, zaś tytułem do osiągnięcia stopnia współwłaściciela może być tylko rzeczywista praca.

Przyczynę obecnego stanu rzeczywistości polskiej, wywiedzioną z długowiecznej symbiozy narodu polskiego (jednego z najbardziej katolickich i jednego z najuboższych narodów) z kościołem, określa autor jako „niespełnienie wobec Boga obowiązku współuczestnictwa w akcie stwórczym" — rozróżniając katolicyzm dogmatyczny, niewzruszalny i narodowy system realizacyjny katolicyzmu społecznego, „katolicyzm faktyczny" różny w czasie i przestrzeni. Na katolików w imię ich odpowiedzialności „przedewszystkiem" nakłada autor obowiązek stworzenia takiego narodowego systemu realizacyjnego katolicyzmu, by naród mógł rozwinąć w nim pełnię swych możliwości, przyczem chodzi mu głównie o rozwój wytwórczych sił ekonomicznych. Drogę urzeczywistnienia tego celu widzi Myczka w zorganizowanej gospodarce narodowej, która polegałaby na „ścisłem współdziałaniu kierujących państwem ideowców ze społeczeństwem i odwrotnie".

Przy wyznaczaniu jednak bliższych, konkretnych zarysów przyszłego ustroju produkcji dóbr ekonomicznych Myczka plącze się, przyznaje do „próżni twórczej", istniejącej w tej mierze przed katolicyzmem społecznym i podsuwa mu „tęsknotę poszukiwania", twierdząc atoli apodyktycznie, że „odwieczną tęsknotą człowieka jest, aby wytwarzanie dóbr ekonomicznych odbywało się w systemie współdziałania z sobą społecznie wolnych, t. j. jednocześnie społecznie zdyscyplinowanych wytwórców, uzależnionych od siebie jedynie ideą przywództwa, tkwiącą u podstaw struktury psychicznej człowieka i wyznaczającą linję i środki działania zbiorowego".

Autor nie godzi się na kapitalizm ani na kolektywizm, „nie rości sobie pretensji do wytyczania form ustroju trzeciego", którego też przekonywującej konstrukcji ideowej stworzyć nie potrafił, choćby dlatego, że musiał obracać się w społecznej próżni realizacyjnej kościoła, który po wiekach prócz cyklik i bull papieskich nie zostawił mu żadnych doświadczeń w tej mierze.

Bezprzedmiotowa byłaby dyskusja na temat wsparć dogmatyczno-religijnych autora w argumentacji i dyskusji, daremna co do „odpowiedzialności przedewszystkiem", która, dziwnym trafem, nie istniała w latach 1772—1918. Nie można także używać naukowych dyscyplin społecznych do walki z mgławicowemi jeszcze koncepcjami socjalnemi, uzależnionemi, jak za scholastycyzmu, od dogmatów. Sprezentowany tu jednak został katolicyzm (społeczny) jaśniejszy, szczególnie u nas bardzo rozbieżny z „katolicyzmem faktycznym"; wygłoszone zostały aż podejrzanie śmiało — jak reklama czy pokaz — ale wygłoszone odpowiedzialnie — ujęcia i poglądy, których mimo encyklik, bull, misyj, mimo chrześcijańskiej „caritas" — z katolicyzmem nigdy nie kojarzymy, przegrodzeni olbrzymim balastem inaczej mówiącej historji łączyć nie jesteśmy w stanie.

Klasę referatu wskazuje brak djabłów: żydów, masonów i bolszewików, stwierdzenie, że „wolność jest rzeczą świętą, której człowiekowi pod żadnym pozorem odbierać nie wolno", brak symplicystycznego utożsamiania prymatu narodu polskiego w państwie polskiem z relegacją mniejszości; firmant pracy, wygłoszonej na III studjum katolickiem (Warszawa, 1937), — Naczelny Instytut Akcji Katolickiej jest symbolem naglącej konieczności. Pośpieszne rekonstruowanie nigdy — poza pierwszemi chyba gminami rzymskiemi — nie realizowanej nauki społecznej Ewangelji czy doktorów kościoła nosi wszelkie cechy szczepienia ochronnego, „radykalizmu", mającego pochłonąć, zneutralizować skrajne nastroje mas.

Referat Myczki, utworzenie Rady Społecznej przy prymasie Hlondzie, to niewątpliwie wydźwięki daleko idących zmian nawet w poglądach zdecydowanych dotychczas przeciwników wszelkich głębszych reform społecznych.

Ale prócz sprawy fałszywej canossy, mającej na celu zagarnięcie radykalnych, wiedzionych i torowanych dziesiątkami lat przez innych, prądów społecznych pod sztandary, choćby... uniwersalizmu chrześcijańskiego, pojawiło się tu z wielką wyrazistością zagadnienia na czasie: ekspanzji społeczno-politycznej katolicyzmu, prób stworzenia z jego walorów religijnych siły zdolnej do decydowania o wszelkich przejawach życia, już nie indywidualnego, ale społecznego i państwowego, co w naszych warunkach — Niepokalanowa i Sapiehów — wieść musi do totalizmu religijnego, katolickiego, moralnej, a któż zaręczy, że nie i fizycznej inkwizycji.

Andrzej Drozd

Rycerskie pióro

Marja Dąbrowska. Moja odpowiedź. Refleksje nad polemiką z „Rozdrożem". Warszawa, J. Mortkowicz, 1938; str. 6 nl. i 112.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?

A. Słonimski „Dwie ojczyzny".

Kiedy czytałam „Odpowiedź" Dąbrowskiej na zarzuty, skierowane przeciw „Rozdrożu", sama autorka przyjechała do Lwowa z odczytem. Szczupła pani, o szorstkim, prawie męskim głosie i niewielka, zwarta treściowo książeczka skojarzyły mi się razem w pojęcie przedziwnej bezpośredniości człowieka i wypowiadanych przez niego myśli, prostej szczerości, na jaką może się zdobyć tylko ktoś bardzo zdecydowany i bardzo mądry. I odważny. Czytając „Moją odpowiedź", wie się napewno, że napisała ją właśnie Dąbrowska, Agnieszka z „Nocy i dni", uśmiechnięta „ukośnym uśmiechem" do wszystkich spraw świata i ludzi — dzielny człowiek. Chociaż nie wiem, czy książka jest wyrazem wartości człowieka, czy wartość człowieka warunkuje wartość książki, ale to pewne: takich polemik nie spotyka się u nas. Jeśli są, to, niestety, bardzo rzadko. Na to trzeba mieć wiele dobrej woli, wiele poczucia odpowiedzialności i — kultury.

Wszystkie ataki na „Rozdroże", jakie przez dłuższy czas pojawiały się w prasie, nie były wartościowaniem myśli, metod lub celowości, lecz wyrazem potępienia i oburzenia, że ktoś śmiał, że odważył się dotknąć tak pewnie i poprostu spraw bolących, że nie pozwolił „zanurzyć się w przyjemniejsze dla jednych, łatwiejsze dla drugich, a bezpieczeniejsze dla wszystkich uczucie litości, pobłażania i rezygnacji wobec świata".

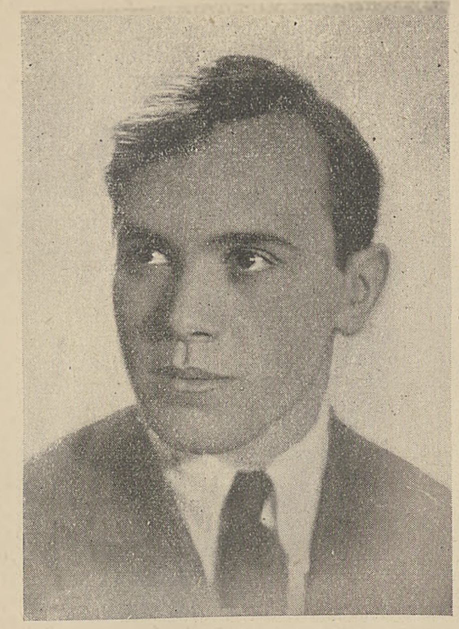
Dąbrowska wyszła z mocnego przekonania, że „poczucie odpowiedzialności i powinności jest też jakiemś prawem nieubłaganem, którem człowiek rządzić się musi i z którego wyskoczyć nie może". Niestety, i to prawo jest, jak wiele innych — nie dla wszystkich. I do tych, którzy wybrali „zgodę opartą na zatajaniu bolączek", od czci i wiary odsądzili ją jako człowieka, Dąbrowska ośmiela się powiedzieć: „Zmień twoją postawę duchową, zrewiduj nanowo twoją hierarchję wartości, zrozum, co się dzieje na świecie, otwórz twoją duszę i serce na życie, które nadchodzi". Zarzucono Dąbrowskiej, że rozbudza „instynkty mściwości i burzycielstwa". Odpowiedziała: „pisarz nie może być wesołkiem". Tego się od niego żąda. Wyznacza się pisarzowi ciasny krąg możliwości, aby tworzył ku zadowoleniu i pożytkowi tych, którzy będą mogli kupić książki i będą mieli czas czytać poezje. Dąbrowska zalicza się sama do tych, co myślą kategorjami „wielkiej demokratycznej Polski", tych, co wbrew „pojęciom ludzi zasklepionych w ginącym świecie poglądów stanowo-szlacheckich", nie chcą narzucać nikomu kultury ze swoich niczem niezasłużonych wyżyn, ale chcą ją uczciwie, po bratersku i obywatelsku współtworzyć. Nic więc dziwnego, że najżyczliwszych czytelników znalazło „Rozdroże" wśród ludowców, socjalistów i demokratów. Z największą wdzięcznością przyjęli je sami chłopi. To jest chyba najlepsza odpowiedź. Stoi za nią dwadzieścia kilka miljonów obywateli.

Na zarzuty osobiste, zarzuty obecnie najłatwiejsze i najczęstsze — „komunizmu, masonerji, pracy na rzecz żydowskiej racji stanu" — Dąbrowska nie odpowiedziała. Tylko w jednym z rozdziałów „Mojej odpowiedzi" z wdzięcznością dziękuje kilku krytykom „za pozostawienie jej bodaj złudzenia, że zachował się jeszcze w Polsce okruch możliwości prowadzenia dyskusji nie na karczemnym poziomie". „Odpowiedź" zresztą jest sprostowaniem uparcie przeinaczanego sensu i przekręcanych myśli „Rozdroża".

Gdy teraz myślę o tych krytykach, polemikach, napaściach, przypomina mi się, jak kiedyś oddawał mi owinięte w gazetę „Rozdroże" robotnik, hutnik. Na pytanie, jak mu się podobało, pokręcił głową: „Wiecie — powiedział — jak się to przeczyta, to zaraz potem chce się iść tłumem na ulicę i krzyczeć". To nie jest nowy argument dla „krytyków" „Rozdroża", to tylko dowód, jakie wrażenie robi na ludziach zwykle tak skrzętnie ukrywana i raz tak objektywnie powiedziana prawda.

„Rozdroże" więc to nietylko szkic publicystyczny, to nietylko poważne studjum. To przedewszystkiem — przestroga.

Marja Fidererówna



Nagrodę młodych Polskiej Akademji Literatury otrzymał Stanisław Piętak za powieść: „Młodość Jasia Kunefała" (1937, F. Hoesick). Urodził się w r. 1909 we wsi Wielowieś (koło Sandomierza), gimnazjum ukończył w Tarnobrzegu, uniwersytet w Krakowie. Piętak rozpoczął od pisania wierszy („Alfabet oczu", „Ziemia odpływa na zachód").

NOWOŚCI POETYCKIE

Aleksander Noll. Dniówka. Warszawa, „Księgarnia Robotnicza", 1937; str. 24.

W „Dniówce" mamy do czynienia z blisko 20 wierszami bardzo słabemi. Trudno z miejsca potępiać autora za rozliczne wady, zwłaszcza za okropnie prymitywną formę, bo, być może, stoi on dopiero u progu swego rozwoju. Raczej należałoby surowo odnieść się do samego faktu przedwczesnego debjutu. Narazie tego, co Noll przedstawia w „Dniówce", nie można jeszcze oceniać dodatnio pod żadnym względem.

Stefan Gołębiowski. Kłos słońca. Warszawa, J. Mortkowicz, 1937; str. 48.

Na „Kłos słońca" składają się przeważnie 3-zwrotkowe wiersze, raczej wierszyki w rodzaju:

Uwodzi woda brylantowa
Jak świeży napój — sok radosny.
Zdrojowe krople, zimne grona
Sączą do gardła strumień wiosny.

Dlatego łatwo sformułować sąd, że taka „poezja" polega na nieporozumieniach, jakie zaszły u autora naprzód w stosunku do własnej osoby, następnie w stosunku do czytelnika. „Kłos słońca" stanowi całkowicie nieudaną próbę kontynuowania przebrzmiałych efektów Pawlikowskiej, Wierzyńskiego i Tuwima. Potwornie puste i banalne (świadomie czy nie — to obojętne) utwory te nie posiadają, minimalnego chociażby, substratu wzruszeniowego i mimo gładkiej formy i troskliwych rymów znajdujemy takie lapsusy: „Warkocze kośby wiatr popieści, pod złotą lampą schnąć zostaną". Pewna lekkość, przewijająca się tu i ówdzie, jest wyraźnie zapożyczona od Pawlikowskiej („Burza"). Całość może z powodzeniem służyć jako typowy przykład, jak obecnie epigońskie wierszopisarstwo, wywodzące się spod znaku niektórych Skamandrytów musi ponieść fiasko, ponieważ osiągnięcia tamtych przedstawiają dziś w większości wypadków przezwyciężone szablony poetyckie.

Bronisław Kamiński. Przeciw. Poemat. Kraków, Klub Młodych Artystów, 1937; str. 48.

Poszczególne części czy „pieśni" tego poematu pozostają ze sobą w dość luźnym naogół związku, tak iż podtytuł „poemat" nie wydaje się konieczny. Lektura wierszy Kamińskiego pozwala poznać, że owo „przeciw" poety to tylko dowód pewnej jeszcze nieumiejętności ustosunkowania się „wobec" świata. Cały tom przesycony jest dużym i niefałszowanym temperamentem, który narazie wyładowuje się najczęściej w nieopanowanem krzykactwie i w t. zw. „wypowiedziach bez pokrycia". Niemniej silna żarliwość i pasja poety, po oczyszczeniu ze strasznych nieraz prozaizmów i frazesów (n. p.: „Świat jest wąski. Czemu? sam nie wiem") i skierowaniu strumienia doznań lirycznych w bardziej uregulowane łożysko, może być w przyszłości podstawą do niejednego o mocnym wyrazie wiersza. Obecnie narwana gwałtowność ze znacznemi domieszkami młodzieńczego „Weltschmerzu" i pesymizmu nie jest w stanie zasugerować czytelnikowi patosu i wybuchowości tych utworów. Nieliczne wpływy, zresztą ogromnie przefiltrowane, Czuchnowskiego świadczą o dobrej szkole autora, ale też i o jego krnąbrności.

Władysław Jaworski

Sprawa konfiskaty „Sygnałów" w Sejmie

W numerze 29 „Sygnałów" z dnia 1 maja 1937 r. ukazał się artykuł Haliny Górskiej „Nauczyciel życia". Autorka omówiła w nim życie i działalność Stefanji Sempołowskiej. Artykuł został skonfiskowany przez starostwo grodzkie we Lwowie. Sąd okręgowy we Lwowie orzeczeniem z dnia 5 maja 1937 r. konfiskatę zatwierdził, motywując ją tem, że artykuł ten „miał na celu przez gloryfikację osoby pod względem politycznym podejrzanej pochwalać przestępstwo". Przeciw tej decyzji wydawnictwo „Sygnałów" wniosło odwołanie. Dnia 12 października 1937 r. odbyła się rozprawa jawna w sądzie okręgowym we Lwowie, na której rozpatrywana była sprawa konfiskaty artykułu Haliny Górskiej i skonfiskowanego w tym samym numerze „Sygnałów" artykułu o „Rozdrożu" Marji Dąbrowskiej. Bronili: adwokat Wacław Szumański i dr. Stanisław Dręgiewicz.

Obszerne sprawozdania z tej rozprawy ukazały się w kilkunastu dziennikach (lwowskich, warszawskich, krakowskich i wileńskich). Dokładne omówienie i sprawozdanie zamieściły „Sygnały" w numerze 36 z dnia 1 grudnia 1937 r.

Przebieg rozprawy wywołał ogromne zainteresowanie zarówno w sferach prawniczych, dziennikarskich, jak też wśród czytającej publiczności. Przypominamy, że rozprawa została odroczona, sąd bowiem postanowił przesłuchać w drodze rekwizycji jako świadka byłego ministra spraw zagranicznych, Augusta Zaleskiego. Dalszy jej ciąg (upłynęły już 4 miesiące) nie został dotychczas naznaczony.

Przebieg rozprawy znalazł echo również w obecnym sejmie. Dnia 21 stycznia 1938 r. w czasie debaty nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości w komisji budżetowej sejmu poseł Tadeusz Kopeć, dziennikarz z Katowic, wygłosił przemówienie, w którem znalazły się również ustępy, dotyczące procesu prasowego „Sygnałów". Zamieszczamy je na podstawie dosłownego tekstu diarjusza sejmowego („Robotnik", z dnia 23 stycznia 1938 r.).

„Przytoczone tu przykłady nie były niczem innem, jak tylko głośnem powiedzeniem tego, o czem opinja publiczna mówi pocichu. Stało się więc dobrze.

Koniecznością jest wyznaczenie stałego miejsca w naszem życiu temu, co ma tak wielkie tradycje w Polsce, czego nam tak brakowało w okresie niewoli, a co z odzyskaniem Niepodległości powinniśmy postawić na pierwszem miejscu — prawu.

Przytoczone tu przykłady wskazują na wielki niepokój w społeczeństwie, co do zasadniczych podstaw prawnych i miejsca, jakie prawu się należy. Byłoby wysoce niebezpiecznem, gdybyśmy ulegli dziś nowym niewypróbowanym koncepcjom, które się rodzą z braku kultury politycznej, z nieświadomości tego, że życiem rządzi prawo, a nie technika magików. P. Minister powiedział, że na czoło prac swoich wysuwa troskę o bezpieczeństwo Państwa i walkę z tymi, którzy marnują jego potencjał materjalny. Jest to słuszne. Trzeba karać tych wszystkich, którzy bezpieczeństwo osłabiają. Jednak pamiętać należy o niebezpieczeństwie rozciągania pewnych pojęć na ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z wywrotowcami czy obcemi agenturami, dążąc jedynie do przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego tak u nas niedoskonałego. Druga zasada p. Ministra jest też słuszna, tylko, że tu regułą powinno być łapać nie płotki, a grube ryby. Nie można bowiem stwarzać sytuacji, gdzie ludzie na wysokich stanowiskach mówią, że to nie podsądny winien, a inni, a tych inych nie widzimy przed sądem. Być może, że niektórzy z nich dostają jeszcze jakieś koncesje. Trzeba wytworzyć zasadę jednolitości prawa w Polsce, odciąć się od niektórych wiatrów spoza zachodniej granicy. Prawo w Polsce musi być równe dla wszystkich i wszyscy równi winni być przed prawem.

Konstytucja kładzie nacisk na udział czynnika społecznego w wymiarze sprawiedliwości. Jest to bardzo ważne, jednak mimo 17 lat Niepodległości nie zostało zrealizowane. Ciekawe, że w sądownictwie wojskowem ten postulat został uwzględniony, tylko w sądownictwie cywilnem nie możemy się na to zdecydować. O poziomie sądów decydują jego niezawisłość i uposażenie materjalne sędziego. To nie jest w Polsce uregulowane. Awans sędziego jest całkowicie zależny od czynnika administracyjnego. Wbrew opinji aparatu sędziowskiego i opinji publicznej wciąż jeszcze działają przepisy o przenoszeniu sędziego, co podważa niezawisłość. Jeśli Rząd nie przyjdzie z rozwiązaniem tej sprawy, to my, jako Izba, będziemy musieli sami ją rozwiązać, znosząc art. 110 i inne, krępujące niezawisłość sądów. Nie można bowiem dojść do takich stosunków w Polsce, któreby podrywały podstawy wymiaru sprawiedliwości. Sędzia musi być człowiekiem o wielkim rozumie i wielkiem sercu. Stąd sprawa jego kwalifikacji jest rzeczą bardzo ważną. Tymczasem we Lwowie w czasie procesu o konfiskatę artykułu o p. Stefanji Sempołowskiej obrońca proponuje powołanie takich świadków, jak Marszałek Prystor, Ambasador Łukasiewicz, Patek, Zaleski i t. d. Prokurator powiada, że nie sprzeciwia się powołaniu tych „jakichś" świadków z rozmaitych części świata. Obrońca wyjaśnia, że są to osobistości z najwybitniejszych w Polsce i z wyjątkiem jednej, mieszkające w Warszawie. Prokurator replikuje, że obrońca o tem nie mówił. Obrońca znów wyjaśnia, że sądzi, iż wszyscy o tem wiedzą. W tym samym procesie sąd powołuje na świadka, Erazma Piltza. Obrońca wyjaśnia, że Pilz umarł 10 lat temu (wesołość), na to sąd mówi, że przecież pan się powoływał na niego w swojem przemówieniu. Sądzę, że dialog ten nie świadczy zbyt wysoko o kwalifikacjach niektórych członków prokuratury i sądu".

GUILLAUME APOLLINAIRE

O STRZELAJĄCEJ BATERJI

Jesteśmy twoim naszyjnikiem Francjo
Przybyli z Atlantyd czy z murzyńskich krajów
Z Eldorado czy nawet z Walji
Rzeka silnych mężczyzn i granatów której wschód się mieni
Diamenty od których noc rozkwita
O Róże O Francjo
Omdlewamy z żądzy
Za twą szyją wychyloną na Wschód
Jesteśmy tęczą ziemi
Znak czystszy niż tęcza na niebie
Znak naszych głębokich początków
Iskry
O my najpiękniejsze kolory.

przełożył LECH PIWOWAR

LECH PIWOWAR

* * *

Jesteśmy twojem obliczem, Francjo,
obliczem odbitem w lustrach poezji Apollinaire'a
i cennym jak każdy centymetr płótna zaludniony kolorami (twoich malarzy!
Jesteśmy twojem obliczem, natchnieniem, które się raz zdarzy,
dla którego się żyje i które nie pozwala umierać.
Oglądamy swoje ręce, z których wyrastają wierszy ciemne róże,
nocą spływa rzeka widzeń, otwiera się upust woni,
przeżywamy poezję jak czternastoletni Rimbaud podróże
i wznosimy się: w niebo ziemi republikańskie drzwony.

Jesteśmy twojem obliczem, Francjo,
rodacy Apollinaire'a, kochankowie jego poematów.
Odbywa się w nas codzień trójbarwna bitwa miłości,
codzienne zdobywanie piękniejszego świata,
po brzegi zalanego wiosną, którą Guillaume kochał w okopach,
która jest rzeką twoich ulic i światłem twoich muzeów.
Rzeka zakochanych w piękności.
Jesteśmy twojem obliczem, Francjo,
którym od 1789 błyszczy Europa,
tak jak to, Francjo:
Jeszcze Polska nie zginęła!

PRZEGLĄD PRASY

Albo-Albo, dwutygodnik, grupuje krakowskie koła demokratyczno-socjalistyczne. W nr. 3 **Józef Cyrankiewicz** w artykule „O akt ostatni historji Legjonów" analizuje sytuację polityczną Polski, rolę, jaką odegrali legjoniści, i domaga się powrotu najlepszych legjonistów do obozu demokratycznego. **Leon Kruczkowski** („Jasne, panie profesorze") namiętnie rozprawia się z posądzeniem Stanisława Cywińskiego, jakoby utwór Gustawa Daniłowskiego „Pociąg" był plagjatem. **Adam Próchnik** („Zwycięstwo w klęsce") podnosi wartość powstania styczniowego: „Wytworzyło ono masowy ruch wśród mas ludowych, rozbudziło je do życia politycznego, uprzytomniło im ich siłę rewolucyjną. Będzie to punktem wyjścia dla powstania samodzielnego ruchu warstw pracujących. Z potrzeb tego ruchu wyłoni się program, w którym hasło walki o niepodległość oprze się na potężnych siłach, tkwiących w ludzie polskim, i zjednoczy się z jego dążeniami społecznemi i politycznemi w jedną ideę wyzwolenia".

Ateneum to nowe pismo, poświęcone sprawom kultury, pod redakcją Stefana Napierskiego. Spis współpracowników pierwszego zeszytu i zapowiedź dalszych dają pojęcie o charakterze pisma. Będzie to jedno z „licznych" u nas pism eklektycznych, bezkierunkowych. Nie chodzi nam tylko o oblicze polityczne lub społeczne, są również ideologje i kierunki czysto kulturalne, filozoficzne, literackie, estetyczne. Chodzi o to, żeby czegoś chcieć, o wprowadzanie nowych myśli, nowych zagadnień, nowych spraw. Jeśli „Ateneum" ma tylko magazynować — na t. zw. poziomie — pisarzy i poetów z najróżnorodniejszych szkół i obozów, obawiamy się, że nie znajdzie szerszego odzewu, że łatwo może się stać organem snobów intelektualnych. Nie jest to ujemna ocena godnego uznania wysiłku redaktorskiego, jest tylko — ostrzeżenie, ażeby ten wysiłek nie poszedł na marne.

W pierwszym zeszycie czytamy rozprawy L. Chwistka o artystach i środowiskach, L. Frydego o St. Brzozowskim, E. Małaniuka o Szewczence, J. Zagórskiego o stylach teatralnych, J. Kotta o Gide'zie, J. W. Gomulickiego o W. Liederze, T. Brezy o „mitologji" w powieściach Kadena-Bandrowskiego, St. Napierskiego o poezji Tuwima; utwory poetyckie Czechowicza, Liedera, Miłosza, Przybosia, Sowińskiego i Świrszczyńskiej; przekłady z Apollinaire'a, Baudelaire'a i Gide'a; wreszcie dział uwag i sprawozdań.

„Czarno na białem", żywo redagowane pismo demokratyczne, poświęciło ostatni numer (7) pamięci Andrzeja Struga. Wymienić należy prace **Adama Próchnika** „Człowiek rewolucji", **Jana Turonia** „Orężna dań", **T. Święckiego** „Trwalszy niż spiż", **Pawła Hulki-Laskowskiego** „Serce człowieka bezimiennego", **gen. Marjusza Zaruskiego** „Wspomnienie z dawnych lat". **Stanisława Czosnowskiego** „Senator", **Stefana Pomiana** „Pigmeizacja Andrzeja Struga", **Jana Karola Wendego** „Myśmy już swoje zrobili". Pozatem liczne fotografje, notatki, wiersze i cytaty z pism Struga. Żaden z współczesnych pisarzy polskich nie został tak wspaniale uczczony. Numer specjalny, poświęcony pamięci Struga, zapowiadają również „Wiadomości Literackie".

Kamena (nr. 5) jest dziś jedynem pismem czysto poetyckiem. **Adam Szczerbowski** we wspomnieniu o Bolesławie Leśmienie uważa go za „jednego z największych poetów polskich, poetę, jak trafnie zauważono w jednem z wspomnień

pośmiertnych, absolutnego, jednego z najdoskonalszych oddaleńców, od którego nikt lepiej, a mało kto równie pięknie, potrafił wyrazić to niepojęte szczęście, jakie mówiąc Jego słowami spływa na człowieka, kiedy „dłonią Boga szukającą natrafi na gniazdo ptasie lub kwiaty jaśminu". Szkic krytyczny o „Elegjach" i „Próbach" Stefana Napierskiego daje **Paweł Hertz.** Pozatem w numerze kilkanaście wierszy i przekładów.

Młoda Myśl Ludowa (nr. 1) jest ideowo-teoretycznym organem młodzieży „Wiciowej". **Jan Dusza** („Na progu drugiego ćwierćwiecza") przeprowadza analizę uchwał walnego ziazdu Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. z dn. 11 grudnia 1937 r. „Patrząc na całość uchwał Zjazdu stwierdzić trzeba dwie rzeczy: jak najbardziej aktywny stosunek ruchu wiciowego do zachodzących na wsi przemian, oraz dalsze i głębsze rozbudowywanie się i konkretyzowanie prac Związku". **Stanisław Piotrowski** popularyzuje postać Masaryka, wskazując go jako wzór do naśladowania („Tomasz Masaryk w walce o wolność sumienia"). „Wartość sztuki ludowej", to temat pracy **Zygmunta Andrzejewskiego.** W omówieniu powieści Wandy Wasilewskiej „Ziemia w jarzmie" autor informuje: „Przeczytałem „Ziemię w jarzmie" i bez trudu odnalazłem w niej wierne odbicie stosunków ze wschodniej nadbużańskiej części powiatu sokołowskiego na Podlasiu. Ostrzeń — to Korczew, własność hrabiów Ostrowskich: wieś Maćków — to Bartków; Rzepaki — Repki i t. d. Najważniejsze i istotne jest jednak to, że rzeczywistość istniejąca w dobrach Korczewskich, jak i wielu, wielu podobnych, znalazła wierny obraz na kartach „Ziemi w jarzmie".

Nasz Wyraz (nr. 1), miesięcznik, jest organem krakowskiej młodzieży literackiej. **Ignacy Fik** rozpatruje „Dzieło sztuki jako budowę". **Michał Chmielowiec** domaga się, aby „nagrodę młodych" podzielić dla wszystkich równouprawnionych i umożliwić im w ten sposób wydawanie książek. Zagadnienie teatru i krytyki porusza **Helena Wielowieyska** („O rozdawaniu cenzurek i o wolności krytyki").

Pokolenie (nr. 4), pismo lwowskiej młodzieży szkół średnich, świadczy, że nie cała młodzież polska jest objęta histerją nacjonalistyczną, że najwartościowsi spośród niej torują własne drogi, czytają, myślą, pracują. Udowodniano, że młodzież szkół średnich jeszcze dalej poszła, niż młodzież akademicka, że sytuacja jest beznadziejna. „Pokolenie" jest dowodem pocieszającym i radosnym, jak bardzo jest inaczej. Inteligentna „Rozmowa o Andrzeju Strugu" **Edwarda Csáto,** „Perspektywy uspołecznienia kultury" **Lesława Kozickiego,** „Zdarzenie o zmroku" **Romana Stanisława Ingardena.** „Są takie bardzo dziwne, bolesne istnienia" **Marii Błażewskiej** — te i inne prace dobrze świadczą o dążeniach lwowskiej młodzieży szkolnej. Życzymy jej powodzenia i wytrwania.

Przegląd Powszechny (nr. 2), pismo wydawane przez Jezuitów, zajmuje się żywo aktualnemi zagadnieniami. **St. Szczutowski** („Burżuazja, proletarjat i ustrój") omawia krytycznie naukę Marxa i Smitha i jedyny ratunek widzi w korporacjonizmie katolickim. Przegląd kierunków filozoficznych ostatnich lat daje **ks. Al. Kisiel** („Na drodze do realizmu"). Najbardziej charakterystyczny jest artykuł **ks. W. Granata** „Narodowość Chrystusa i ghetto ławkowe". Autor, zajmując się roztrząsaną obecnie wśród kół rasistowskich sprawą narodowości Chrystusa, stwierdza, że „Chrystus według ciała, t. j. jako człowiek pochodził z narodu żydowskiego, był semitą z krwi i rasy, był żydem... jednak bez wad właściwych dawnemu czy obecnemu żydostwu". Potem stwierdza, że pochodzenie żydowskie Chrystusa nie ma nic wspólnego ze sprawą „ghetta", gdyż w niektórych wypadkach „ghetto" może być nakazane przez naukę chrześcijańska. Zacytowany fragment da właściwe pojęcie o obłudzie, zakłamaniu i cynizmie człowieka, który oficjalnie głosi naukę Chrystusa:

„Pod wpływem przeobrażeń ideowych, szczególnie wobec wzmożonego ruchu narodowego, miłość narodu mimo wszystko nie dała się zagłuszyć szumnemi frazesami postępowych międzynarodówek. Młodzież akademicka — żywy sejsmograf przemian ideowych — pierwsza zareagowała i nie mogąc stworzyć właściwego ghetta, szuka symbolu, pchana zdrowym w zasadzie instynktem, a za taki symbol uważa ghetto ławkowe. Przypuszczam, iż mylą się ci, którzy ghetto ławkowe traktują jako niepoważny wybryk młodzieży i niecelowy środek obrony przed zalewem żydowskim. W dobie bowiem panowania sierpa z młotem, swastyki i rózgi liktorskiej miłość i pragnienie symbolów narodowych rośnie u młodzieży polskiej, zakazy nie pomogą wiele, młodzież bowiem polska uważa ghetto ławkowe za jeden z symbolów odrodzenia narodowego i dlatego tak zawzięcie walczy, chociaż dla wielu z jej profesorów o dawnym liberalnym pokroju i liberalnych kategorjach myślenia idea ghetta, tak gorąco przez młodzież umiłowana, jest jedynie żakowskim wybrykiem i pustym frazesem... ...Fakt, że Chrystus pochodził jako człowiek z narodu żydowskiego, nie łączy się żadną miarą z charakterem etycznym lub nieetycznym ghetta ławkowego. Powoływanie się na Chrystusa przez przeciwników ghetta miałoby sens tylko wówczas, gdyby ghetto ławkowe **musiało koniecznie być symbolem nienawiści** rasowej i wyrządzało krzywdę żydom, gdyby było całkowitem potępieniem narodu żydowskiego jako takiego, a nie słuszną tylko obroną przed wpływami, jakie są uznane za szkodliwe dla życia danego narodu...".

„Bezbożnictwo sowieckie" **H. J. Korybut-Woronieckiego,** „Wojna japońsko-chińska" **K. Symonolewicza** — to dalsze artykuły. Książkę Charles Plisnier „Fałszywe paszporty", wyróżnioną nagrodą Goncuurt'ów, omawia **M. Kasterska.** Niezwykle entuzjastycznie wita ostatni „przełom w Rumunji" **Otto Forst Battaglia.**

Dużo ciekawych uwag o panazjatyzmie i panarabizmie rzuca ks. E. Kosibowicz, redaktor „Przeglądu Powszechnego".

K. K.

KORESPONDENCJA

O NOWE PISMO PISARZY CHŁOPSKICH

Do redaktora „Sygnałów"

Wieś, chłop, zagadnienia biedy chłopskiej, pracy chłopskiej, rzeczywistości wiejskiej stają się w ostatnich czasach w literaturze polskiej tematem nowym i ciekawym. O wsi pisze się dużo i szeroko. Ale jak pisze? Jedni z „pisarzy" widzą we wsi samą niezorganizowaną nędzę, samą dzikość i rozpacz, kładącą się do trumny, inni samą tężyznę, tryskającą zdrowiem i niefrasobliwością, jeszcze inni pokorną, cichą, cichutką, całującą plebana w rękę i stułę i bijącą z ferworem „żydokomunę". Piszą to o wsi ludzie, którzy wieś znają z okien dworu i wagonu i nie mają ze wsią nic wspólnego. Prawdziwych synów wsi, piszących o wsi naprawdę pięknie, ocenia się jako operujących „łamańcami językowemi" jegomościów „dla wsi niezrozumiałemi" („Wieś Polska"). A wieś? Co może wieś... Jak może wziąć w obronę tego rzekomo „rasowego" Burka czy „komunistę" Czuchnowskiego... Na wsi prócz tych, uznanych za dobrych czy złych, żyje i narasta nowe pokolenie „samorodnych" pisarzy chłopskich. Żyje i narasta zdala od nauki szkolnej, której nie można było zdobyć, zdala od książki, gazety, chleba... Szamocą się w walce z ponurą rzeczywistością. Chcą służyć wsi, ludowi, a nie mogą. Nieuznani — marnują się. Znam kilku poetów, pisarzy chłopskich, którzy sami zdobywają chleb i wiedzę, tworzą — i marnują młode siły, bo niema nikogo, ktoby im pomógł. Ilu ich jest i ilu ich jeszcze będzie? Ilu już zmarło z głodu, z wyczerpania, zginęło w pomroce dni na suchoty, tyfus, grypę i szkorbut, i ile jeszcze zginie, zamrze? Kto to wie? Pewne, że tego nie wykaże żadna statystyka. Bo kogo to obchodzi, że gdzieś w Naprawie, pod Krakowem, w Sieradzkiem, Łęczyckiem, Miechowskiem, Lubelskiem, Krakowskiem, Lwowskiem umiera i szamoce się w walce z życiem jakiś Burda, Wrona, Pawłowski, Breowicz, Ziegler, Augustyn czy Flejszar. Nikogo to nie zajmuje. Koterje redakcyjne zawsze odrzucą wiersz „nieznanego". Czas położyć temu kres. Przez rok, w Naprawie wychodził redagowany przez M. Czuchnowskiego i A. Olche miesięcznik literatów ludowych „Nowa Wieś". W ciągu niewielu miesięcy wokół „Nowej Wsi" skupiło się 60 literatów wsiowych. Ze względów „od wydawnictwa niezależnych" „Nowa Wieś" przestała wychodzić. Grupa literatów chłopskich — początkujących — poszła w rozsypkę. Czekają jakiegoś hasła.

Obudzić się — czas najwyższy. Czas powołać do życia pod dawną redakcją nowe pismo pisarzy chłopskich. Narazie niech jakaś redakcja da u siebie przytułek bezdomnym. Fundusze na wydawanie możnaby zebrać w formie udziałów od wszystkich pisarzy. Idą nowe czasy. Trzeba stać na ludowym posterunku. Trzeba się wziąć do pracy.

Kazimierz Piotr Nowak (Kałów, poczta Poddębice)

O WYZWOLENIE CZŁOWIEKA

Do redaktora „Sygnałów"

Z wielką ciekawością przeczytałem artykuł Adama Próchnika „Trzy rewolucje humanistyczne", w grudniowym numerze „Sygnałów". Na czoło zogadnień nowożytnych czasów została w nim postawiona sprawa człowieka i jego pełnego wyzwolenia.

W rewolucji „duchowej" XV i XVI w. największą zdobycza była zmiana nawyków ludzkiego myślenia. Ta zmiana umożliwiła późniejsze walki o prawa dla wszystkich, o równość i wolność. Można ją uważać za zarodek tych wszystkich fermentów, które były wywoływane w imię pełnego wyzwolenia człowieka.

Z dwiema myślami autora zgodzić się nie mogę, nie jestem pewny ich słuszności. Pozwolę sobie te wątpliwości przedstawić. Nie zgadzam się z twierdzeniem, że „gdy raz problem stanie na porządku dziennym, nie może już z niego zejść, póki nie nastąpi realizacja". Mam wrażenie, że pogląd ten jest oparty tylko na jakiejś wewnętrznej wierze autora w jego słuszność. Jest bowiem możliwe gwałtowne przerwanie wysiłku zdążającego do wyzwolenia człowieka. Trzeba więc nietylko dążyć do realizacji tego celu, ale równocześnie baczyć, aby nie stało się nic takiego, co groziłoby przerwaniem tego wysiłku. Przerwę taką mogą sprowadzić: wojna, ignorancja wodzów i dyktatorów, poronione idee ludzi ciasnych i niemoralnych.

Pozostaje również dla mnie wielkim znakiem zapytania, czy rewolucja społeczna jest ostatnią „w walce o ideały humanizmu". Każda rewolucja w okresie jej realizacji wydaje się być ostatnią. Wszak sam Próchnik mówi, że w okresie humanizmu „wyzwolenie ducha wydawało się spełnieniem całego zadania".

„Wyzwolenie człowieka jest celem wielkim, trudnym, wymagającym gruntownego przekształcenia wszystkich podstaw życia" — powiada słusznie autor. Ale nie mamy pewności, że z przekształceniem społecznej podstawy życia osiągniemy już cel ostateczny. Może wyłoni się nowa podstawa, która będzie wymagała przekształcenia. I trzeba będzie nanowo zabrać się do pracy. Wiecznym motorem prawdziwego i wzniosłego wysiłku jest pragnienie stworzenia takich warunków, w których pełny (to znaczy zgodny z naturą ludzką i jej bogactwem) rozwój osobowości ludzkiej będzie możliwy. Czasami wątpię, czy pragnienie to doczeka się urzeczywistnienia.

Jakób Kluger (Kraków)

UWAGI CZYTELNIKA

Do redaktora „Sygnałów"

Spowodu rozpoczęcia piątego roku wydawnictwa „Sygnałów", tak rzadkiego w dzisiejszych czasach efemeryd jubileuszu pisma niezależnego, pragnę — jako czytelnik — napisać kilka uwag.

Nie będzie to tradycyjny „rzut oka wstecz". Pożyteczniej bowiem jest mówić o sprawach aktualnych, gdyż punktem wyjścia dla działalności publicystycznej i literackiej powinny być potrzeby współczesności. Tem bardziej, że „Sygnały" stały się pismem ogólnopolskiem, mając już za sobą „okres regjonalny"; że zdołały skupić wokół siebie szereg najprzedniejszych piór polskich, gdy dotychczas były tylko organem zamkniętego zespołu literackiego; że przeszły już okres młodzieńczej brawury — trzeba to przyznać — z wynikiem dodatnim.

Szereg utworów poetyckich i artykułów w ostatnich numerach „Sygnałów" na temat sztuki i literatury awangardowej („Obrona poety Peipera", „Mieczysław Szczuka", „Pyrrusowe zwycięstwo awangardy", przekłady z nowoczesnej poezji francuskiej i inne) wskazują nietylko na żywotność nowej sztuki, ale i na rozszerzenie bazy „kierunkowej" perjodyku, mającego ambicję stać się wykładnikiem całej bieżącej literatury, w odróżnieniu od innych pism, będących kapliczkami grup i zrzeszeń.

Rzecz znamienna: Tadeusz Hollender, entuzjasta Tuwima, omawiając jego „Treść gorejącą" („Sygnały", nr. 25), wskazuje na łączność jej autora ze sztuką awangardy, chociaż wielokrotnie rozmaici krytycy wytykali poetom „Skamandra" ich reakcyjność formalną i anegdotyczną (brak programu — „...gdyż programy są zawsze spojrzeniem wstecz, są dzieleniem nieobliczalnego życia przez znane") w stosunku do nowatorskich poczynań „Zwrotnicy" i „Linji".

Zwrot „Sygnałów" w kierunku literatury postępowej pozostaje zapewne w związku z tytułem „sprawy społeczne — literatura — sztuka". Każda bowiem nowa, niesfałszowana wizja aktualnej rzeczywistości musi posługiwać się nowemi, jej właściwemi środkami sugestji artystycznej. Słowem: z zetknięcia się życia społecznego, jego żywych problemów z dążeniami czystej sztuki, pozornie aspołecznej, bo tkwiącej jeszcze w ścianach laboratorjum awangardy, krystalizuje się (i stabilizuje zarazem) nowy kierunek, nowy „izm", będący syntezą czystej sztuki i zagadnień społecznych, jednocześnie zaś widomym znakiem nowej literatury.

Pojmowanie literatury jako fotografji rzeczywistości (włącznie z wieloraką konstrukcją utworów realistycznych, „zrozumiałych") prowadzi nieuchronnie do dylematu: jak wytłumaczyć sztukę irrealną i irracjonalną, nie będącą odbiciem tej rzeczywistości?

Kiedy autentyczny twórca dostatecznie opanuje sztukę zastaną, natenczas nie chcąc ulec uwiądowi starczemu, jakim byłoby dlań tworzenie w odziedziczonej formie, musi znaleźć nową formę dla swej sztuki. Pomagają mu w tem aktualne zagadnienia społeczne, są dlań niejako latarnią morską. Wreszcie: „myślenie, gdy się już raz zacznie, ma swoją autonomję i polega na tem, żeby wymyślić coś, czego nie było".

Tak jak pisarze przezwyciężają w swej twórczości sztukę passeistyczną, podobnie muszą czynić czytelnicy nowej literatury: przezwyciężyć w sobie „pociąg" do dzieł o konserwatywnej tendencji formalnej i poznać alfabet literacki awangardy.

Wszczepić zamiłowanie do literatury walczącej i znajomość jej praw i estetyki, oto wdzięczne pole dla pisma społeczno-literackiego. Poznanie zasad awangardy wymaga wykształcenia. Zrozumiał to dobrze Majakowskij, gdy wystąpił z postulatem wychowania estetycznego społeczeństwa.

I nie może być inaczej u nas, gdzie znajomość klasyków nowej literatury jest niedostateczna. Cóż z tego, że Mirjam napisał świetne studjum o Rimbaudzie, kiedy społeczeństwo nie zna jego poezyj? To samo dotyczy twórczości Baudelaire'a, Lautréamont'a, Apollinaire'a i wielu innych.

Pisząc te uwagi o znczeniu awangardy, wciąż pamiętałem o pozycji i przeznaczeniu „Sygnałów", a zatem i o ich stosunku do zagadnienia sztuki walczącej. Hierarchja rzeczy i zdarzeń w społeczeństwie demokratycznem najlepiej uwidocznia współzależność sztuki i spraw społecznych.

Brzozowski, charakteryzując poezję Staffa z okresu jego nowatorstwa, pisał: „Gdy na barkach zwyciężonego losu człowiek rzeczywisty, a więc bojownik i tułacz, wysłać chce swobodne tchnienie w świat, napotyka na słonecznym szlaku pieśń Staffa".

Jakżeż aktualne i właściwe są te słowa dziś w odniesieniu do zamieszczeń i osiągnięć awangardzistów?...

Adolf Dicker (Czortków)

* * *

P. M. Złoczów. Wiersze zwróciliśmy.

F. Bl. Warszawa. Wiersz „nie dorasta do wymaganego poziomu".

Uczeń prof. Cz. Warszawa. Listów otwartych, niepodpisanych imieniem i nazwiskiem, nie drukujemy. Sprawę tę wyjaśnią artykuły, umieszczone w dzisiejszym numerze „Sygnałów".

L. R. Warszawa. Artykułu o brytyjskim kongresie pokoju nie będziemy drukowali.

Margry. Brześć. Wiersze nie do druku.

Le. En. Warszawa. „Wypocinka ta" nie nie posiada wartości.

A...ge. Wiersze nie będą drukowane.

Wł. Wł. Piotrków Tryb. Wrażenia z podróży są odpowiednie dla dziennika. W „Sygnałach" nie będziemy drukowali.

X. y. Warszawa. Wiersz i opowiadanie nie będą umieszczone.

H. E. Lwów. Uwag o „Czasach pogardy" nie umieścimy.

Z. W. Warszawa. Odpowiedzieliśmy listownie.

K. P. N. Kałów. Jeden z listów drukujemy. Prosimy o większy wybór wierszy. Za życzenia serdecznie dziękujemy i zasyłamy pozdrowienia. Adres Czuchnowskiego: Łużna, pow. Gorlice.

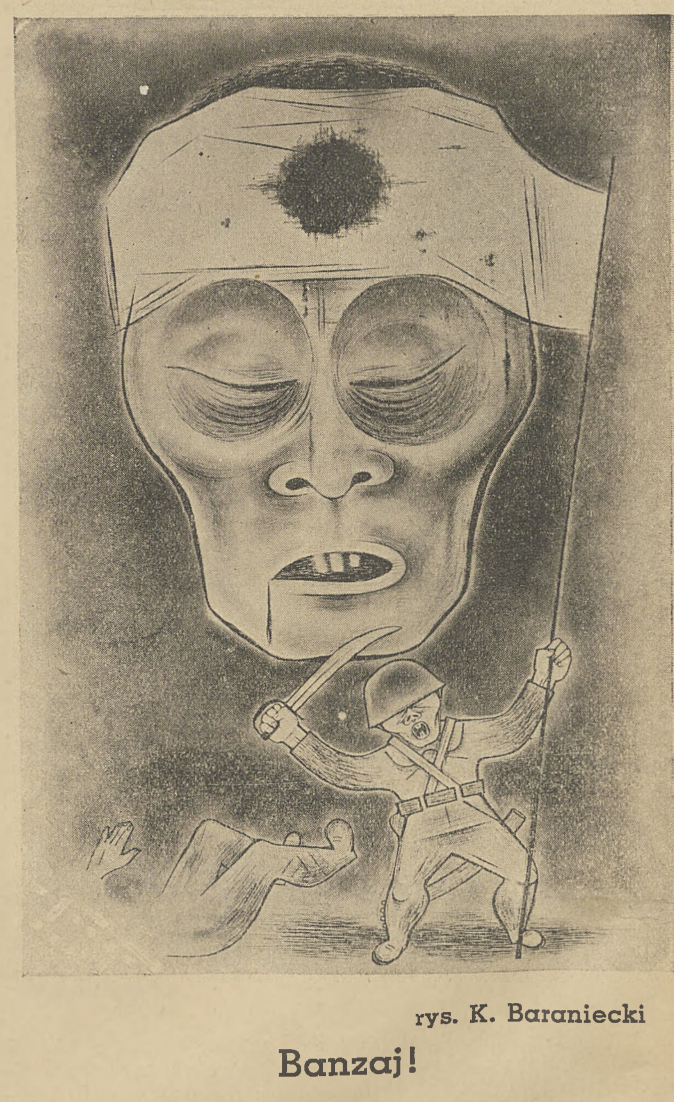
Ł. J. Łódź. „Świt w Łodzi" nie będzie drukowany.

Jan Sadyba. Katowice. Wiersze nie będą drukowane. Życzymy wytrwania i zasyłamy pozdrowienia.

A. L. B. Cieszyn. Wiersz „Ja dziś tylko żyję" nie będzie umieszczony.

Arn. Przemyśl. Owszem, posiadają. Anonimów i kryptonimów nie umieszczamy.

I. P. Lwów. Wydrukujemy w przyszłości jeden z wierszy („Brat" lub „Człowiek").



rys. K. Baraniecki

Banzaj!

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK

Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 12

codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 17—19, tel. 244-78.

PRENUMERATA:
roczna 7.00 zł., półroczna 4.00 zł., kwartalna 2.00 zł.

Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.

CENY OGŁOSZEŃ:
1 mm szerokości 1 szpalty 80 gr.

Redaktor odpowiedzialny: KAROL KURYLUK.

Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.